

Wiesław Wernic



DALEKA

PRZYGODA



**WIELKI KONKURS POWIEŚCIOWY
„KURJERA PORANNEGO”**

WIESŁAW WERNIC

**DALEKA
PRZYGODA**

POWIEŚĆ

DODATEK POWIEŚCIOWY DO „KURJERA PORANNEGO”

Nr. 17. WARSZAWA, 19 LISTOPADA 1933 r.

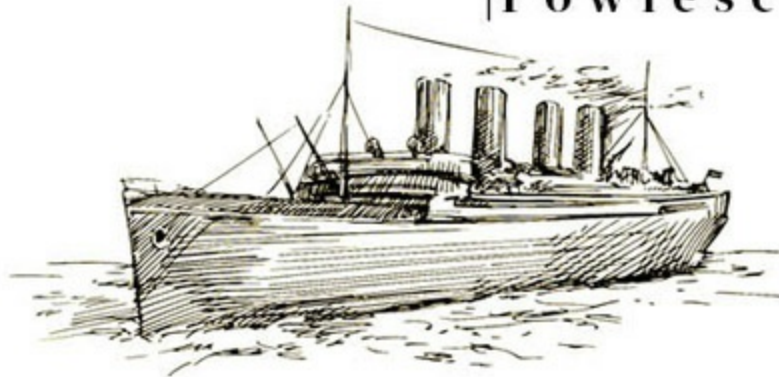


Wiesław Wernic

DALEKA

P R Z Y G O D A

| Powieść |



WARSZAWA 2017

Wiesław Wernic
Daleka przygoda

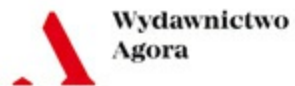
Edycja elektroniczna 2017 według tekstu: Dodatek powieściowy do „Kurier Porannego”
nr 17–18,
Warszawa, 19–26 listopada 1933 r.

PROJEKT OKŁADKI: Marta Szamburska
OPRACOWANIE JĘZYKOWE WYDANIA ELEKTRONICZNEGO: Agnieszka Subda-
Ogonowska
KOREKTA WYDANIA ELEKTRONICZNEGO: Anna Kozłowska

© Copyright by DOMINIK WERNIC, Montreal, Canada 2016
© Copyright by AGORA SA 2017

Warszawa, Poland 2017

ISBN: 978-83-268-1960-5 (epub)
ISBN: 978-83-268-1961-2 (mobi)



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

Konwersja i edycja publikacji



Spis treści

ZAMIAST WSTĘPU

PROLOG

I.

II.

III.

IV.

V.

VI.

VII.

VIII.

IX. URYWKI Z PAMIĘTNIKA DOKTORA WŁADYSŁAWA
KOLCA

X.

XI.

XII.

XIII.

XIV.

ZAMIAST WSTĘPU

Przekazuję dziś czytelnikom, a zwłaszcza wszystkim miłośnikom powieści westernowych Wiesława Wernica, tekst wyjątkowy w Jego twórczości.

„Daleką przygodę” mój Ojciec napisał i opublikował 83 lata temu.

Powieść ta, a właściwie nowela, ukazała się jeden jedyny raz w 1933 roku jako „dodatek powieściowy” do warszawskiej gazety „Kurjer Poranny” (pisownia oryginalna), w dwóch odcinkach – 19 oraz 26 listopada.

Tak więc 32 lata przed opublikowaniem pierwszej powieści dwudziestotomowego cyklu westernowego Wiesław Wernic debiutował jako pisarz kompletnie innym gatunkiem – powieścią sensacyjną czy – jak sam to później określił – „powieścią szpiegowską”. Co więcej sensacyjna akcja „Dalekiej przygody” toczy się nie na Dzikim Zachodzie, lecz na polskim statku, na polskim Bałtyku i na polskim lądzie!

Dla tych z Państwa, którzy czytali powieści westernowe, interesujące zapewne będzie porównanie stylów literackich. „Daleką przygodę” Wiesław Wernic napisał w wieku 27 lat. Pióro miał zawsze świetne, bo wrodzony talent literacki kultywował od czasów gimnazjalnych i kształtował go przez całe życie jako dziennikarz. W „Dalekiej przygodzie” widać wyraźnie młodzieńczą, romantyczną nutę oraz niespotykaną w późniejszej twórczości autora „Tropów wiodących przez prerię” fascynację płcią piękną w osobie tajemniczej bohaterki.

Cały tekst oryginału starannie skopiowałem, dla oddania uroku tamtych lat zachowując „przedwojenną” składnię i stylistykę oraz niektóre nieużywane dziś nazwy, jak „Helsingfors” – obecnie „Helsinki”, Rewel – współcześnie Tallinn czy „portcygar” – papierośnica. Uaktualniłem jedynie ortografię – np. „linia” zamiast „linja” czy „o tym” zamiast „o tem”.

Pragnę ogromnie podziękować panu Rafałowi Skrzypczakowi, założycielowi portalu www.wernic.pl za zdobycie unikatowego egzemplarza „Dalekiej przygody” z 1933 roku.

Pozostaje mi tylko życzyć czytelnikom fascynującej lektury.

Dominik Wernic
Montreal, grudzień 2016

PROLOG

Wody Morza Bałtyckiego są jasnozielone, kiedy w upalne południe słońce odbija się jaskrawo na grzbietach pienistych fal.

Wody Morza Bałtyckiego są ciemnoniebieskie, kiedy różowy zachód żegna dzień ostatnimi smugami uciekającego światła.

Wody Morza Bałtyckiego są czarne i srebrne, srebrno-czarne, kiedy nastaje księżycowa pełnia i w ciszę nocy ustawicznie wpada grzmot fal.

Woda walczy z lądem, białe języki wilgoci suną przez drobny piasek wybrzeża. A wśród tej nocy księżycowej, raz po raz, nad linią horyzontu, błyska złota linia światła. Błyska i gaśnie, i znowu daleki promień wybiega od strony lądu.

To latarnia w Rozewiu.

Przed stu pięćdziesięciu laty wzniesiona budowla morska teraz całą siłą motorów Schuckerta wysyła w dal zbawcze sygnały.

A kiedy mgła zawiśnie nad morzem i lądem, a błyski elektrycznych lamp na próżno starają się przedrzeć białą zasłonę, co minutę rozlega się donośny głos syreny i prostują drogi transoceanicznych statków.

Podczas letnich nocy od brzegów półwyspu, tam gdzie Hel i Jastarnia błyskają drobnymi ognikami świateł, biegnie ponad grzbietami fal i poprzez szum łagodnego wiatru przytłumiony głos muzyki.

W ciepłe noce od lądu bucha zapach leśnej żywicy. Karłowate sosny, troskliwie zasadzone w wąskim przesmyku Kuźnic, trzaskają tajemniczo gałęziami, a czasem poprzez pogrążony w sennym mroku

półwysep przemknie oświetlony wąż wagonów.

POLSKIE MORZE.

Sto trzydzieści pięć kilometrów żółto-zielonego wybrzeża, od ujścia leniwej Piaśnicy aż do Kolebek. A ze środka tego postrzępionego pasa piasków i lesistych wzgórz wybiegają szare gładziny łamaczy fal.

GDYNIA.

Fala pełnego morza, odbita o drewniany pomost przystani helskiej, wpada na spokojne wody zatoki, liże mokrym językiem burty rybackich kutrów, zgromadzonych w Pucku, i ostatkiem rozpędu wbiega do portowych basenów, żeby znieruchomić, zamienić się w gładką płaszczyznę ciemnej wody. Ale tutaj nie dają jej długo odpocząć.

Czarny, przysadzisty, pękaty holownik sapie głośno i stalową śrubą młóci toń. Poruszona woda pluszcze niespokojnie nad wysokim nabrzeżem i wyrzuca fale spod rufy holowanego okrętu, pędzi je poza obręb awanportu, poza helski cypel.

Rośnie i potężnieje fala na otwartym morzu.

Przycicha na śluzach Kanału Kilońskiego, żeby nowych sił nabrać od porywistych wiatrów Morza Północnego i obiegłszy pół świata, spocząć gdzieś na złotym piasku koralowego atolu.

Tam, podczas nocy parnej i gorącej, pod srebrnym Krzyżem Południa, w cichym plusku wody zdradza samotnym palmom tajemnice białych nocy polskiego wybrzeża i tajemnice wiatru, który zgania dymy znad kominów domostw Rewy, Rzucewa, Kossakowa, Pierwoszyn i Rozewia.

Na grzbiecie takiej fali wyjeżdżała z wojennych portów Polska Armada Morska, a dziś ta sama fala niesie na swych barkach szaro-błękitne, podłużne i gładkie okręty wojenne, wielkie parowce i żaglowe barki.

Ta sama fala tłucze o skaliste wybrzeża zachodniej Afryki i przynosi

pionierom polskiego osadnictwa pozdrowienia ze starego kraju.

Ta sama fala pluszcze rozgłośnię na wybrzeżach nowego kontynentu, tam gdzie jasnowłosa i niebieskooki chłop uprawia żyzne pola w słonecznej Paranie.

Ta sama fala wita polskich łowców wielorybów u wrót piekielnej bramy – przylądka Horn i opuszczonej Tierra del Fuego – Ziemi Ognistej.

Gdzie jest ląd, na którym nie stanęłaby mocna stopa Polaka?

Algier i Egipt, Angola i Przylądek Dobrej Nadziei. Doliny Amazonki, Missisipi i skutego lodem Yukonu. Południowa Afryka i północna Ameryka.

Wsie polskie w Brazylii, w Montanii peruwiańskiej, w Stanach, Kanadzie, w Azji Mniejszej. Kolonia polska w Charbinie, w Sydney, w Szanghaju...

Setki osiedli, rozrzuconych po całym świecie.

Setki nazwisk podróżników narodu, który, jakby na ironię losu, rzadko kiedy interesował się sprawami morza, tej bramy szerokiego świata.

Trzeba było ziemię przejść wszerz i wzdłuż, przewędrować oceany, pod obcą służąc banderą, żeby po latach, wzgardzony i zapomniany Bałtyk na nowo począł obmywać północne granice młodego państwa.

A wówczas poczęły się dziać rzeczy dziwne.

Wzdłuż całego Półwyspu Helskiego pojawiają się parowe kafary i pogłębiarki. Wbijają mocne pale i wyrzucają zamulony piasek w nędznych i opuszczonych przystaniach Helu i Pucka.

Huczą rozgłośnię na piaszczystych ławicach Jastarni.

Na zapomnianym przez Boga i ludzi, opuszczonym kącie świata, zjawiają się brygady robotników.

Stalowe szyny łączą uśpione wioski rybackie z centrum kraju.

Długie pociągi dudnią dniem i nocą, a blaskom oświetlonych okien wagonów wtórują błyski latarń na Helu i Rozewiu.

Ludy rojnego Mazowsza, żyznych Kujaw, zadumanej nad przeszłością ziemi krakowskiej ciągną na słoneczne wybrzeże, na piaski, diuny i osypiska, żeby piersi napełnić nowym oddechem, oddechem morza, zapachem soli i zielonych wodorostów.

A nad Zatoką Gdańską, w miejscu, gdzie od wieków znajdowała się głusza i pustka, i jedna tylko wioska pod nazwą Gdynia, rozsiadła się nad nieruchomą taflą wody, wyrasta jak spod ziemi miasto i port pełen dymiących kominów, zgrzytu kranów węglowych i hurgotu elektrycznych wind.

Spełnia się sen Władysławowy, marzenie Stefana Batorego, tęsknota Jana Henryka Dąbrowskiego, prorocza wizja Stefana Żeromskiego.

Spełnia się sen o morzu.

Wieczorem, kiedy słońce zachodzi, a wiatr wzmaga się i pędzi wełniaste grzywy bałwanów na ławy podsypisk Wielkiej Wsi, Chałup, Jastarni i Boru, w plusku wody i szeleście drzew, ziemia i morze opowiadają o lądach dalekich i błękitnych oceanach.

WIATR OD MORZA, WIATR OD MORZA!...

Wieje nam w twarz i szumi głosem DALEKIEJ PRZYGODY.

I.

Było już dobrze po północy, kiedy port gdyński opuścił średnich rozmiarów frachtowiec – s/s „Robot”.

Światła awanportu goniły odpływający statek, oddając go niejako blaskom morskiej latarni na Helu.

Kapitan Borkowicz zaklął dosadnie, kiedy przyszedł go zmienić pierwszy oficer okrętowy. Spóźnili się co najmniej o dwie godziny.

– Północny wschód, ku wschodowi – rzucił, schodząc z mostku.

– Północny wschód, ku wschodowi – odbrzmiał z góry spokojny głos porucznika.

Borkowicz oparł się o poręcz schodków.

– Piękna noc – zagadał do niego ze srebrzystego mroku czyjś głos.

– Piękna noc – powtórzył, podchodząc do burty.

Z wyżyn górnego pokładu widać było migocące gwiazdy ciemnego nieba. Białe kółka widniały w kierunku Gdyni, a nad miastem unosiła się różowa łuna.

– Jakżeż ci się to wszystko podoba?

Stanisław Stempkowski, jedyny podróżny czarnego frachtowca, zaśmiał się cicho.

– Bajecznie. Czekam tylko, żeby się ukazał wąż morski.

– Takie dziwadła rodzą się tylko przy biurkach redakcyjnych.

Stempkowski zaśmiał się po raz drugi, sam był dziennikarzem.

– Chociaż, kto wie... na jakim tle powstała ta bajka?

– Na tle letniej posuchy i braku innych pomysłów.

– Kto wie? Wszystkie możliwości istnieją na morzach...

– ...i na lądzie – dokończył szybko Stempkowski. – Ciekaw jestem, co za możliwości istnieją na takim skromnym jezioru jak Bałtyk?

– Och, mówisz tak, jakbyś całe życie spędził co najmniej, no...

na Pacyfiku. Do licha, i ja będę kiedyś kapitanem wielkiej żeglugi.

– Polecam się pamięci. Nocami śni mi się Buenos Aires i Wyspy Hawajskie.

– Skromne wymagania.

– Chcę być uczestnikiem jakiejś dalekiej przygody.

– Utopić można się i tutaj.

Stempkowski parsknął śmiechem.

– Nawet i w wannie, ale nie o tym myślałem.

Gdzieś z boku zamigotały ostre błyski reflektorów. Syrena „Robota” rozdarła nocną ciszę swym przeraźliwym krzykiem.

– Co to?

Borkowicz wpatrzył się w mrok. W blasku księżycy przesunęły się cicho dwie szare sylwetki okrętów.

– Dywizjon kontrtorpedowców – powiedział po chwili wahania. – Wyjechali z Oksywia, pewnie na nocne ćwiczenia.

– „Wicher” i „Burza” – zauważył dziennikarz.

– Tak. Pędzą jak prawdziwy wicher i burza.

Czarniejsze od nocy pióropusze dymu zdawały się dosięgać księżycowej tarczy. Borkowicz zapalił papierosa. Złoty ognik drgał nerwowo w zaciśniętych ustach.

– Jakoś dzisiaj spokojnie.

– Pogodna noc, ale poczekaj, jak wypłyniemy na otwarte morze. To wszystko to jeszcze zatoka. Tam Hel...

Ręka kapitana zakręciła w powietrzu półkole.

– Mało tego.

– Czego?

– Wybrzeża. I takie ubogie.

– Ale będzie bogate. Już się bogaci. Handel rybny się rozwija, a poza tym Gdynia rośnie jak na drożdżach. Pamiętam jeszcze te czasy, kiedy w Jastarni Kaszubi musieli przed burzą wyjeżdżać

na morze, żeby im łódek nie porozwalało. Dzisiaj mają przystań, dobrą przystań. A kutry motorowe? Za niemieckich czasów nie było ich wcale. A dzisiaj?

– Dzisiaj wyjeżdżamy na połów śledzi aż na Morze Północne – dokończył za niego Stempkowski.

– Właśnie. Możemy być dumni z tego. Okrzyczana niemiecka kultura zostawiła nam w spadku szmat odłogiem leżącej ziemi, pozbawionej dróg i kolei. To było zapomniane wybrzeże. My z tego robimy cuda.

– Kosztowne cuda.

– Więcej niż tysięczne procenty zysków nam dadzą.

– To prawda.

Zamilkli na chwilę. Żaden szmer nie mącił śródpokładowej ciszy, tylko gdzieś z wnętrza statku, poprzez grube wyloty wentylatorów, razem z rozgrzanym powietrzem wypadały przytłumione głosy maszyny.

Stempkowski, oparty o balustradę górnego pokładu, widział siwą smugę, tuż za rufą okrętu.

Woda bałwaniła się wściekle pod uderzeniami ukrytych w jej głębi śrub.

– Trzeba iść spać.

– Aż szkoda.

– Łatwo ci to mówić. Niestety, nie znajduję się tutaj dla podziwiania gwiazdzistych nocy. To ciężka orka być kapitanem. Cały romantyzm diabli biorą, kiedy po nieprzespanej nocy szczękasz zębami na rannym wietrze.

– Wyobrażam to sobie.

– Idziesz?

Stempkowski z lekkim westchnieniem oderwał się od poręczy.

– Idę. Zawód marynarza przedstawia mi się w bardzo różowych

kolorach.

– Pozory mylą.

Zeszli na dolny pokład.

– Byłbym dumny, gdyby pod moimi rozkazami znajdował się taki pływający dom.

Borkowicz aż drgnął.

– Też porównanie! Mówisz rzeczywiście jak prawdziwy szczer łądowy, co się tyczy dumy, to nie mam po prostu na nią czasu.

Zamilkli na chwilę. Znajdowali się w mrocznym korytarzu, tuż przed drzwiami kapitańskiej kajuty. Szczęknięta okrągła klamka.

– Nareszcie jesteś, kapitanie! Nudziłam się śmiertelnie.

Miękki, melodyjny głos zatrzymał ich na progu. Ciemności kabiny nie pozwalały dostrzec czegokolwiek.

Słowa zostały wypowiedziane po angielsku, ale zrozumieli je doskonale.

Stempkowski odetchnął głęboko, jak człowiek przygotowujący się do zanurkowania w morską głębinę.

– Cóż to, kobiety wozisz ze sobą? Nic mi o tym nie mówiłeś – powiedział szeptem.

– Niech mnie Bóg uchwata...

Lekki okrzyk dobył się z wnętrza kabiny.

– Gdzie jest kapitan?

– Ja jestem kapitanem – wyrzucił z siebie Borkowicz i wkroczył do kajuty.

– Pan?

Drugi okrzyk, pełen przestachu, skłonił Stempkowskiego do przekroczenia progu.

– Skąd pani się tu znalazła?

– Mój Boże... – ciche westchnienie wybiegło z niewidocznych ust. – Chcę się zobaczyć z panem Lubitschem, czy nie jest już kapitanem

na tym okręcie?

– Nigdy nim nie był.

– Jak to?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Nigdy nim nie był – powtórzył po chwili Borkowicz. – Pani się chyba pomyliła.

– Czyż nie znajduję się na „Wikingu”?

Stempkowski odetchnął, jak gdyby wielki ciężar spadł mu z piersi.

– Jest pani na statku transportowym „Robot” Północno-Wschodniej Linii Żeglugi – powiedział szybko, uprzedziwszy kapitana.

– Pan żartuje...

– Nie miałoby to żadnego sensu.

– Dobrze, ale... ale... – głos mówiącej załamał się nagle i ucichł.

– A cóż to za nieprawdopodobna historia – wytchnął dziennikarz. – Nic z tego nie rozumiem.

– Ja również.

Borkowski namacał w ciemnościach gładką półkulę wyłącznika i młeczne światło zabłysło u stropu kabiny. Zamrugali oczami.

W tej samej chwili ukryty we wnętrzu statku dyżurny mechanik, bez kurtki, z odwiniętymi rękawami koszuli, stoi przed półokrągłą tarczą wewnętrznego telegrafu.

W przedziale maszyn dudnią gładkie tłoki, ciepła oliwa żółtymi kroplami spada na blachę podłogi.

W czarnej kotłowni fala gorąca bije od rozgrzanych pieców. Co trzy minuty otwierają się prostokątne drzwiczki palenisk. Czerwony żar oświetla spocone twarze palaczy. Sypie się węgiel z wielkich łopat. Osiem wentylatorów dmucha strumieniami chłodnego powietrza. Mosiężne manometry czuwają nad ciśnieniem pary.

W tej samej chwili pierwszy porucznik tkwi na kapitańskim

mostku ze wzrokiem skierowanym w mrok i półgłosem rzuca swe uwagi sternikowi.

W tej samej chwili drugi oficer przeżywa senne marzenia w swej własnej koi.

I nikt o tym nie wie i nikt tego nie rozumie, że razem z błyskiem matowej lampy w kapitańskiej kajucie na pokład „Robota”, transportowca Północno-Wschodniej Linii Żeglugi (Gdynia – Ryga – Rewel – Helsingfors), wkroczyła tajemnica. Tajemnica nieznaney kobiety.

Kim jest właścicielka ceratowego płaszcza, niedbale rzuconego na poręcz ciężkiego, dębowego krzesła?

Jakie zagadki kryją w sobie błyszczące źrenice czarnych oczu?

Jakie myśli skupiły się za zasłoną gładkiego czoła?

Jakie słowa wypowiedzą czerwone, mocno zarysowane usta?

Borkowicz przesunął ręką po oczach, a potem skłonił się sztywno.

Nieznajoma zerwała się z fotela. Jej wzrok przenosił się niespokojnie z twarzy na twarz stojących przed nią mężczyzn.

– Gdzie ja jestem? – wykrzyknęła po chwili. – Przecież kapitan Lubitsch... jak ja się tu dostałam?

– To nas samych ciekawi. Niech się pani nie denerwuje. Jakoś to wyjaśnimy.

– Dokąd jedziemy?

– Do Helsingforsu.

Opadła z powrotem na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Borkowicz i Stempkowski popatrzyli na siebie zdziwionym wzrokiem.

– Myślę, że nie ma powodu do rozpaczyny – zauważył łagodnie dziennikarz.

Podniosła głowę i obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Oczywiście – dodał Borkowicz – ale niech nam pani powie, w jaki

sposób znalazła się w tej kabinie. Mam prawo domagać się tego od pani. Jestem kapitanem „Robota”.

– A tamten pan? – wyrwało się jej nagle. – Nie wygląda na marynarza.

Głęboka zmarszczka przecięła na chwilę czoło Borkowicza.

– Ten pan jest moim dobrym kolegą – powiedział powoli – i jedynym pasażerem transportowca, ale jeżeli pani sobie życzy...

– Och, nie. Źle mnie pan zrozumiał. Tylko że... ja panów nie znam i...

– Nie potrzebuje się pani lękać czegokolwiek.

– Miałam płynąć na „Wikingu” – powiedziała nieznajoma.

Borkowicz kiwnął głową. W porcie gdyńskim na nabrzeżu szwedzkim „Wiking” był przycumowany tuż obok „Robota”. „Wiking” był gdańskim transportowcem o tym samym prawie tonażu co „Robot” i ostatecznie można było się pomylić, ale wyglądało to dość dziwnie.

– Na pokładzie nie spotkałam żywej duszy i... panowie zapewne nie uwierzą, ale rozkład kabin jest tutaj taki sam.

– Zabawna historia.

– Co pan ze mną zrobi, kapitanie?

– Dokąd pani miała jechać?

– Do Kopenhagi.

– To zupełnie nie w tym kierunku.

– Czyby pan nie mógł, kapitanie...

Nie dokończyła zdania.

– Słucham panią.

– Czyby pan nie mógł... Gdynia jest jeszcze tak blisko.

Lekki cień uśmiechu przemknął po twarzy Stempkowskiego. Borkowicz przecząco potrząsnął głową.

– To wykluczone. Jesteśmy spóźnieni o dwie godziny, a poza tym

wprowadzać okręt do portu dla jednej osoby to zbyt kosztowne.

– Ale przecież ja nie mogę jechać do Helsingforsu!

Borkowicz bezradnie rozłożył ręce.

– Jeżeli rankiem spotkamy jakiś statek...

– To będzie za późno – powiedziała, kładąc dłonie na blacie stołu. – „Wiking” odpływa dzisiejszej nocy.

– Ma pani do załatwienia jakąś terminową sprawę w Kopenhadze?

– Tak. Śpieszy mi się bardzo.

– Szkoda, bo ja tylko tyle mogę dla pani zrobić. I to nie w nocy. W nocy byłoby zbyt trudno. A teraz...

Przysunął sobie krzesło.

– Czy posiada pani jakiś dowód tożsamości? Moim obowiązkiem jest zażądać go od pani.

– Oczywiście.

Spod ceratowego płaszcza wydobyła małą, z krokodylej skóry zrobioną torebkę. Cicho trzasnął malutki zamek.

– Proszę.

Dziennikarz nachylił się nad Borkowiczem i spojrzał mu przez ramię. Zaszleściły kartki papieru, a z kartek tych wynikła rzecz oczywista, że pani Alicja Wedwood jest obywatelką angielską, że przyjechała do Polski przed trzema miesiącami, a duńska wiza, zamykająca długi szereg kolorowych pieczęci, świadczyła o prawdziwości jej zamiarów udania się do Kopenhagi.

– Wszystko w porządku – zawyrokował kapitan. – Paszport tymczasem zatrzymuję. Zwrócę go pani przed opuszczeniem „Robota”. Takie mamy przepisy.

Skinęła głową na znak zgody.

– Zasadniczo nie przewozimy podróżnych. – Widząc jej pytające spojrzenie, zwrócone w stronę dziennikarza, dodał szybko – Ten pan jest wyjątkiem. Pan Stempkowski, redaktor „Wiadomości

Codziennych” – przedstawił go, uśmiechając się nieznacznie.

Dziennikarz uściśnął lekko wyciągniętą ku niemu dłoń.

– Czy pani pali? – zapytał.

– Owszem.

– Dziwna przygoda spotkała panią – powiedział, otwierając papierośnicę.

– I kłopotliwa – dorzucił kapitan, szcękając zapalniczką.

– Dziękuję. A co pan wozi kapitanie?

– Co popadnie. Przeważnie ładunki drobnicowe. Obecnie cukier i ryż z łuszczarni gdyńskiej.

– Piękna jest ta wasza Gdynia. Taka nowa, aż pachnie świeżością.

– Długo pani bawiła w niej.

– Byłam kilka razy. Ostatnio prawie tydzień.

– A jakie wrażenia wywozi pani z Polski? – zagadnął Stempkowski.

– Bardzo miłe. – Uśmiech pojawił się na jej ustach. – Bardzo miłe – powtórzyła. – W Gdańsku mieszka moja dalsza rodzina.

– O! To pani tutejsza.

Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

– A tak. Moja kuzynka wyszła za mąż za gdańszczanina.

– Polaka?

– Nie. Niemca. Kapitan Lubitsch jest bratem jej męża. Oto przyczyna, dla której tak bezceremonialnie weszłam na pokład tego statku, sądząc, że to „Wiking”.

– Innymi słowy, wszystkiemu winne stosunki rodzinne.

– W pewnej mierze tak. – Uśmiech pojawił się na jej ustach.

– Zapewne odbywała pani często morskie podróże?

– Bardzo często, ale nie spotkało mnie jeszcze nigdy nic podobnego.

– Miejmy nadzieję, że skończy się wszystko dobrze.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Biedny Hans, musi się bardzo niepokoić. Panie kapitanie – zwróciła się do Borkowicza – chcę pana o coś poprosić.

– Służę pani.

– Ma pan radiotelegraf na statku?

– Na wszystkich okrętach naszej linii znajdują się aparaty nadawczo-odbiorcze.

Lekki odcień dumy zabrzmiał w głosie kapitana.

– To świetnie – ucieszyła się. – Czy nie mógłby pan nadać depezy?

– Dokąd?

– Do... może do Gdyni, chyba że „Wiking” już wypłynął z portu.

Ale to przecież wszystko jedno.

– Możemy spróbować. Czy pani sobie życzy zaraz?

– O tak, kapitanie. Natychmiast, jeżeli pan łaskaw.

– Proszę w takim razie podać mi jej treść.

Przysunął jej ćwiartkę papieru. Zamyśliła się chwilę, a potem poczęła szybko pisać.

Borkowicz badawczo przyglądał się konturom pochylonej głowy. Jakies dalekie wspomnienia nasuwały mu się natarczywie.

Czyżby już widział kiedyś tę kobietę?

Chyba przypadkiem. Chyba przelotnie.

Ale kiedy?

Czy podczas ostatnich trzech miesięcy?

Nie, niemożliwe.

Angielka o czarnych oczach i czarnych włosach. Czyżby ją znał?

Przesunął ręką po czole.

Z chaosu skłębionych myśli począł wysnuwać się drobny, nieuchwytny wątek.

– Stasiek – powiedział po polsku – znasz sprawę Stanisławskiego. Mówiłem ci kiedyś o nim.

Stempkowski drgnął.

– Pamiętam – powiedział – ale...

Jakaś myśl nagła nie pozwoliła mu dokończyć słowa. Jego oczy skierowały się na postać piszącej.

– Sądzisz, że to...

– Ona – szepnął kapitan i ostrzegawczo położył palec na ustach.

– O Boże... – Blade westchnienie wypadło z piersi dziennikarza. – Jesteś pewien?

Borkowicz po raz drugi położył palec na ustach.

II.

– ...no i...?

– Zastrzelił się.

W pokoju zapanowało przykre milczenie. Z brzegu dolatywał odgłos wielkiej fali, bijącej o kamienne molo. Przez okno widać było daleką przestrzeń morza, nakrytą czarnymi płatami ciężkich chmur.

Szara cisza rozprędkła się w powietrzu. Była godzina czwarta, a robiło się już coraz ciemniej, mimo lata i długiego dnia.

– Będzie burza.

Sylwetka wartującego marynarza przesunęła się pod oknem.

Stanisławski zabił się wczoraj wieczorem w Tczewie, w osiem godzin po powrocie z Gdyni, na godzinę przed końcem urlopu.

Siedzieli teraz we trzech naokoło prostokątnego stołu, przy którym opracowywano tyle projektów i planów na przyszłość i tyle razy cztery męskie głosy spierały się o ważne i najważniejsze kwestie. Obecnie czwarte krzesło stało puste i nic już nie mogły pomóc najśmielsze plany i zamierzenia.

Stanisławski się zastrzelił. Borkowicz przyjechał z Tczewa przed chwilą. Wpadł tutaj prosto ze stacji i tak jak stał – w płaszczu, czapce

i brązowych rękawiczkach, począł opowiadać zeschniętymi ustami, ściśniętym gardłem.

– I nic nie zostawił! Żadnych papierów, listu, kartki?

– Nic, nic... Po prostu nie rozumiem, nie wiem... Jakaś tam komisja bada teraz, ale...

– Co „ale”...?

– Jeżeli ja nie wiem, to czegoż oni się dowiedzą?

– Ba, trzeba było przyjechać wcześniej.

Borkowicz szeroko otworzył oczy.

– Wiecie? Co wiecie? Długi? Weksle? Przecież w karty nie grał.

Bolesław Roth, porucznik na torpedowcu „Sęp”, poruszył się niespokojnie i stłumionym głosem rzucił na pokój trzy dźwięczne litery:

– Ona!

– Trudno uwierzyć.

– A jednak stało się i nikt nic na to nie poradzi.

– Kto to był?

– Angielka.

Borkowicz oparł się o stół.

– Skąd?

– Nikt tego nie wie. Nie znamy nawet jej nazwiska. Jakaś tajemnicza osoba.

– No, dobrze, ale przecież Stanisławski...

– Nie lubił o niej mówić.

– Ale dlaczego, dlaczego?

Dwie ciężkie krople deszczu spadły na szybę okna, morze tężało coraz bardziej, ciężkie i nieruchliwe, błyszczące jak płaszczyna roztopionego ołowiu. Między szumem wiatru, szarpiącego gałęzie samotnego drzewa plątały się urywki zdań, sylaby słów.

W ciemnym pokoju ze zwięzłego opowiadania porucznika Rotha

wyrastała smukła sylwetka kobiety o czarnych włosach i białych rękach. Szybki, niespodziewany przebieg zdarzeń, drobnych i nieuchwytnych dla ludzi obcych, wielkich i znaczących dla niego. Bo łatwo chyba zgadnąć, co zaszło między nią i Stanisławskim, co zająć musiało i przyspieszyć koniec rozpaczliwy.

Bohaterowie powieści Londona, nieustępliwi i ostrzy, jak stalowe klingi myśliwskich noży, mogli istnieć tylko wśród białych mrozów dalekiej Alaski. Stanisławski nie był bohaterem powieści Londona. Zapewne powiedział jej wszystko i... ustąpił.

Tylko tyle wiemy i tylko tyle możemy się domyślać.

Borkowicz zerwał się z krzesła.

– Dlaczego boimy się rzecz całą nazwać po imieniu?

W mroku złote naszywki zaledwie uwidaczniały się na granatowej kurtce.

– Przecież to jest zwykła zbrodnia.

Spojrzeli nań zdziwieni.

– No, tak. Dużo jest dróg dla uratowania życia ludzkiego. Gdyby chciała, znalazłaby taką. Mówicie, że to niemożliwe? Ja w to nie wierzę.

– Nic nie mówimy, nic nie mówimy... Pierwszy raz w życiu nie bronię kobiety...

– Więc nikt z was jej nie zna?

– Nikt. Widzieliśmy ją wszystkiego kilka razy.

– Ale kto to jest?

Za całą odpowiedź Roth wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce.

– Należałoby tę rzecz zbadać.

– Nie sądzę. Gdyby Stanisławski żył, nie zgodziłby się na to. Uszanujmy jego wolę.

– Jak chcecie.

Ciche westchnienie wybiegło z piersi Borkowicza:

– Szkoda chłopca.

Roth zabębnił palcami po szybie.

– Łódka!

Podeszli do okna.

– Gdzie? Nic nie widzę.

W wąskich szklach lornetki zamajaczyła trójkątna sylwetka żagla. Łódka na morzu, przed burzą. Daleki maszt chwiało się nerwowo na wszystkie strony.

Po chwilowej ciszy wielka fala rosła ciągle. Oślepiająca strzała błyskawicy znikła za horyzontem. Żagiel skrył się za pienistym wałem wody. Ukazał się znowu. Jeszcze raz zasłoniła go fala i jeszcze raz.

Ukazywał się i znikał w przerwach kilku sekund. Potem przerwy były coraz dłuższe, coraz wolniej wyłaniała się z wody nieznana łódka. Trzykrotnie zabłysło światło.

Razem rzucili się do wyjścia. Przebiegli sień. Pod naporem wiatru odskoczyły frontowe drzwi. Gęsty tuman kurzu obsypał ich suchymi ziarnkami piasku. Borkowicz nie mógł złapać oddechu. Zaczął kaszeć.

Wicher zadał ze wzmocnioną siłą. Kilkaset metrów dalej wzburzone morze zalewało wybrzeże długimi językami wilgoci.

– Prędeż, prędeż!

Głos Rotha zginął w przeciągłym grzmocie.

Dopadli brzegu.

Brzęknął zardzewiały łańcuch lakierowanej motorówki.

– Prędeż, prędeż!

Stalowe oczka łańcucha ześlizgnęły się po drewnianym słupie tymczasowej przystani. Ciepła woda chlusnęła na gładkie schodki. Borkowicz przekręcił koło sterowe. Motor cicho zawarczał i biała smuga piany wytrysła za śrubą. Przemknęli wzdłuż brzegu. Łódź

zatoczyła szeroki łuk obok szarych zrębów kamiennego molo.

Roth, oparty o błyszczącą balustradę, szarpał się bezustannie z wiatrem usiłującym zwalić go z nóg.

Raz dęło z zachodu, raz ze wschodu.

Po ciszy, trwającej sekundę, gwałtowny prąd powietrza nadlatywał z najmniej spodziewanej strony.

Szarzyński od kilku chwil gonił za kłębem grubej liny, latającej tu i tam, od burty do burty, z przodu na tył.

Im dalej od brzegu, tym bardziej rosła fala. Drobne kałuże wody bełkotały po wybitych linoleum deskach.

Roth, ze skaczącą w rękę lornetką, śledził trójkąt dalekiego żagla. Ciągle jeszcze trzymał się na powierzchni wysoki maszt, chociaż chwilami prawie że kładł się na fale.

Nieustępliwy szpic molo przemknął po prawej ręce. Wypłynęli na otwartą przestrzeń. W tej chwili kilkanaście kubłów słonej wody przelało się nad burtą.

– Motor zaleje!

Borkowicz krzychał coś, ale nic nie było słychać. Grzmoty następowały jeden po drugim.

Żółtofioletowe ognie zapalały się raz po raz. Niebo i morze przybrały jednakową barwę, zlewały się z sobą w czarną płaszczyznę. Wśród ciągłych błyskawic lunęły z chmur gęste strugi deszczu.

– Nie widzę!

Roth przecierał ciągle mokre szkła.

– Nic nie widzę!

Drżąca ściana wisiła dokoła spadzistego daszku łodzi, Szarzyński nachylając się nad głową Borkowicza, krzychał resztkami głosu:

– Nic nie widać! Wal prosto! Wal prosto!

Motor zadudnił ze zdwojoną siłą. Rozkołysania fal wzmożyły się. Staczali się z jednej bruzdy w drugą bruzdę wodną, zachrypnięci,

związani, mokrzy i zmarznięci do szpiku kości.

Przeszło jeszcze pięć minut.

Nagle Borkowicz przekręcił gwałtownie sterowe koło. Gdzieś z boku wyjrzała drewniana burta rybackiej łodzi. Strzępy żagla wisiały bezładnie.

– Uwaga!

Szarzyński już wiązał linę. W tej chwili znaleźli się na grzbiecie fali, rybacka łódź spłynęła w bruzdę. Czarny wąż liny przeciął powietrze. Błyskawica rozjaśniła mrok.

– To ona! – krzyknął Roth nad uchem Borkowicza.

– Przywiązali! Zawracaj!

Smukły kadłub motorówki przerznął fale. Lina się wyprężyła, ale nie pękła.

– To ona! – krzyczał Roth – trzy osoby... dwie kobiety, rybak...

Po przez ścianę wody nie było widać sąsiedniej łodzi. Rwali teraz naprzód całą siłą.

Spokojniejsze rzuty fal zasygnalizowały bliskość zbawczego moła. Deszcz zmniejszył się. Linia brzegu stawała się coraz wyraźniejsza.

Jeszcze 300 metrów, jeszcze 200, 100, 50...

Motor zamilkł. Borkowicz wyskoczył na belkę przystani. Drewniany dziób barki zgrzytnął na łańcuchu.

W tyle łodzi siedziały dwie kobiety w jasnych sukniach, bez kapeluszy. Jedna z nich miała czarne włosy.

– To ona – pomyślał Borkowicz, zaplątując linę w misterny węzeł.

Jasne suknie, poszarpane i mokre, pobrudzone były czerwonymi plamami rdzy. Z białych pantofelków kapały drobne krople wody.

– Doprawdy nie wiem, jak panom dziękować...

Cudzoziemskie słowa wstrząsnęły Borkowiczem, jak elektryczna iskra. Angielka! Roth się nie mylił!

Podniósł głowę. Czarne włosy, półokrągłe łuki czarnych brwi.

Kolor oczu? Nie mógł sobie dokładnie tego uprzytomnić w ciągu jednej sekundy.

– Och, głupstwo...

– Ładne głupstwo... – zaśmiała się dźwięcznym głosem. – Przecież tu chodziło o życie...

– ...o życie.

Teraz dopiero zrozumiał Borkowicz, dlaczego do tej pory nie przedstawił się i dlaczego obaj koledzy zamiast podejść, zawzięcie coś majstrowali przy motorówce.

Znowu się ściemniło. Trójkąt błyskawicy przerznął chmury. W tym oślepiającym błysku dojrzał Borkowicz wyciągniętą ku niemu białą, gładką rękę. Cofnął się o krok i opanowując przygniatające dudnienie grzmotu, zrzucił z siebie ciężar:

– Stanisławski zabił się wczoraj...

III.

Minęło kilka lat.

Porucznik Roth dostał przydział na kontrtorpedowcu „Wicher”. Szarzyński pływał pod banderą linii „Gdynia – Ameryka”, a Borkowicz został kapitanem „Robota”.

Na krótko przed tą nominacją zapoznał się ze Stempkowskim. Być może, że w Stempkowskim podświadomie tkwiła dusza „wilka morskiego”, lub też Borkowicz czuł słabość do reporterki. Dość że przelotna, zdawałoby się, znajomość przemieniła się w przyjaźń.

Dwukrotnie jeździł Stempkowski do Sztokholmu, a raz do Rewla, bo Borkowicz, mimo że był kapitanem zwykłego frachtowca, posiadał jakiś dziwny wpływ na swych chlebodawców i zawsze potrafił uzyskać pozwolenie na wzięcie na pokład dodatkowego

pasażera.

Czasem zresztą czynił to bez pozwolenia. Nic dziwnego. Jeżdżąc ciągle wzdłuż tych samych rejsów, nudził się niekiedy śmiertelnie.

Któregoś burzliwego, jesiennego dnia, w przerwie między dwoma wachtami, opowiedział Stempkowskiemu o samobójstwie swego kolegi.

Dziennikarz wysłuchał go uważnie, a potem zapytał tak, jak gdyby od niechcienia:

– Zastanawiałem się nad tym kilkakrotnie.

– I?...

– I nie znalazłem odpowiedzi.

– Skąd możesz wiedzieć, czy ona rzeczywiście była tak winną, jak ci się wydaje?

– Tego wiedzieć nie mogę, ale wtedy ja to czułem. Czułem, rozumiesz.

– Rozumiem to dobrze, ale... – Dziennikarz machnął ręką. – Widziałeś ją jeszcze?

– Nie. To był pierwszy i ostatni raz. Mam nadzieję, że jej nie zobaczę już nigdy, a zresztą... myślę, że bym jej już nie poznał. Tyle lat... a wtedy dzień był ciemny, burza i błyskawice...

– A znasz jej nazwisko?

– Nie.

– A imię?

– Nie.

– To świetnie! Nigdy cię to nie ciekawiło?

– Co tu pomoże ciekawość?

– Słusznie. Należało jednak zająć się bliżej tą sprawą.

– Po co?

Stempkowski wzruszył ramionami.

– Było śledztwo?

– Było.

– I co?

– Bez wyników. Bez żadnych konkretnych wyników. Może to i dobrze.

– Kto wie? Cudzoziemka romansująca z oficerem polskiej marynarki wojennej to dla mnie sprawa trochę podejrzana.

– Zdaje ci się. Nie trzeba szukać dziury w całym. Może masz i rację?

– Na pewno mam rację.

– A jednak ta pani przyjeżdżająca aż z Anglii na polskie wybrzeże...

– Może ma tu krewnych?

– Może, ale to nie jest pewnikiem.

– Mało cudzoziemców przyjeżdża do Polski?

– Dużo, ale w danym wypadku...

– Dla mnie jest również rzeczą prawdopodobną, że ona pracuje w którymś z przedstawicielstw dyplomatycznych Stanów Zjednoczonych lub Anglii.

– To prawda. I rzeczywiście nigdy jej więcej już nie spotkałeś?

– Nie. Jestem tego pewien, bo sam mi mówiłeś, że byś jej nie poznał.

Borkowicz poruszył się niespokojnie na krześle.

– Ech, pytasz mnie tak, jakbyś prowadził śledztwo.

Stempkowski uśmiechnął się lekko.

– W pewnym stopniu tak, ponieważ ta historia ciekawi mnie mocno.

– Dla mnie jest ona tylko przykra.

– Dajmy więc temu spokój.

Borkowicz kiwnął potakująco głową.

Na tym rozmowa o tragicznym wypadku Stanisławskiego została skończona. Tematu tego żaden z nich więcej już nie poruszał i zdawało się, że wszystko pochłonie mgła ludzkiej niepamięci.

Tak minął rok jeszcze.

W zimie Borkowicz bawił na urlopie w Warszawie, a wczesną już wiosną począł zasypywać Stempkowskiego listami, proponując mu małą wycieczkę do Helsingforsu.

Dopiero jednak w lipcu mógł dziennikarz zdecydować się na wyjazd do Gdyni. Przybył tam na trzy dni przed wyruszeniem „Robota” i prosto z pociągu udał się na nabrzeże szwedzkie.

– Kapitan jest?

Porucznik Orcel, pierwszy oficer statku, prawie że dobry znajomy Stempkowskiego, roześmiał się radośnie.

– Nareszcie, panie redaktorze! Czekaliśmy na pana już od tygodnia.

– Co tam słychać nowego?

– Byczo jest. Pogoda jak wymarzona. Kiedy zagramy w brydża?

– Czekał pan, ledwie wszedłem na pokład.

Zadudniły schodki pod szybkimi krokami. Ze środkowej luki wyjrzała głowa Borkowicza.

– O! Nareszcie.

– Nareszcie, nareszcie – przedrzeźnił Stempkowski – wyobrażasz sobie, że ja nic innego nie mam do roboty poza włączeniem się po morzu.

– Wyobrażam, nie wyobrażam, ale w taki upał szkoda siedzieć w mieście.

– Do licha, nie każdy jest marynarzem. Kiedy wyruszamy?

– Za trzy dni.

– Dopiero?

– Teraz to ci pilno. No chodźmy.

– Głodny jestem jak wilk.

– I śpiący, co?

– Na to zawsze jeszcze będzie czas.

– No to chodźmy do miasta.

– Najpierw się umyję.

Walizki Stempkowskiego wniesiono do kabiny kapitana, a w godzinę później szli już ulicą Portową w stronę Kaszubskiego Placu.

IV.

– Proszę, kapitanie.

Podawała mu białą ćwiartkę papieru. Borkowicz rzucił nań przelotnie wzrokiem.

– Po niemiecku – zauważył, uśmiechając się lekko.

– Czy to sprawi panu jaką trudność?

– Nie, proszę pani.

– Hans nie zrozumiałby inaczej.

– Angielskiego również nie zna? – postawił chytre pytanie Stempkowski.

– Zna, ale słabo.

– To nie ma dla nas znaczenia – wtrącił Borkowicz. – Możemy posłać depezę i w niemieckim języku. Chce pani być świadkiem tego?

– Jeżeli nie będę przeszkadzać...

– Ale cóż znowu. Proszę pani...

Otworzył drzwi kabiny.

Wionął na nich chłodny mrok korytarza.

– Tylko pięć kroków. To tu.

Zatrzymali się przed białym prostokątem drzwi. Szczęknęła klamka. Zaspany telegrafista mrugał oczami. Wyraz zdziwienia odbił się na jego twarzy. Kobieta na pokładzie „Robota” to była rzecz niesłychana. Stempkowski z trudem stłumił śmiech.

– Panie Wiórek, trzeba nadać tę depeszę.

– Tak jest, kapitanie.

Biała kartka przewędrowała z rąk do rąk.

– „Wiking”. Kapitan Lubitsch. Przez pomyłkę dostałam się na „Robota”... – tłumaczył półgłosem telegrafista – ...wracam pierwszym napotkanym okrętem, natychmiast albo z Helsingforsu. Alicja.

– Więc jednak ma pani zamiar jechać aż do Helsingforsu? – w głosie Borkowicza zabrzmiało zdziwienie.

– Przecież nie wrzuci mnie pan, kapitanie, do morza.

– Może się tego pani nie obawiać, ale sądziłem, że się pani bardzo śpieszy...

– I tak jest istotnie. Ale czy pan mi może zagwarantować to, że spotkamy okręt płynący akurat do Kopenhagi albo do Gdyni?

– Za to ręczyć nie mogę, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa...

Zaśmiała się głośno.

– Wolę pewność od prawdopodobieństwa.

– Niech pan nadaje – zwrócił się kapitan do Wiórka.

Aparat począł sucho stukać. W kabinie zapanowało milczenie. Stempkowski cofnął się w cień i spod oka obserwował postać nieznajomej.

Więc to była realna przyczyna śmierci Stanisławskiego. Ta właśnie Angielka, Alicja Wedwood, tajemnicza osoba, niespodziewana pasażerka „Robota”. Co ją ciągnęło tutaj, na polskie wybrzeże? Co wprowadziło ją na pokład statku? Omyłka?

Myśl dziennikarza pracowała intensywnie.

Wśród swej kilkunastoletniej działalności reporterskiej nie takie już rozwiązywał zagadki.

Czy rzeczywiście Alicja Wedwood miała krewnych w Gdańsku?

Czy... – kroplisty pot zrosił czoło dziennikarza – ...Stanisławski dlatego się zabił, że nie przyjęła jego oświadczyn? Czy tylko dlatego?

Ileż tu wątpliwości!

– „Wiking” nie odpowiada, kapitanie.

Spokojny głos telegrafisty wyrwał Stempkowskiego z błędnego kręgu rozmyślań.

– Nadawaj pan depeszę.

Znowu zaterkotał aparat.

– Nie możemy złapać „Wikinga” – powiedział po angielsku Borkowicz.

– Jaka szkoda. Ale niech pan spróbuje...

– Będziemy próbować. Nada się depeszę, może trafi do adresata.

– Bardzo panu dziękuję.

Borkowicz drgnął, w tej chwili przypomniał sobie pewien burzliwy dzień, chropowaty dziób rybackiej łodzi, werżniętej w nadbrzeżny piasek, i słowa:

– Doprawdy nie wiem, jak panom dziękować.

– Nadane, kapitanie – odezwał się Wiórek.

– Powtórz pan całą treść jeszcze dwa razy, a my... – spojrzenie Borkowicza zatrzymało się pytająco na sylwetce Alicji Wedwood – ...możemy chyba stąd iść.

– Oczywiście. Zrobił pan wszystko, co było w jego mocy.

– Myślę, że pani jest zmęczona.

– Trochę – powiedziała, mrużąc senne oczy.

Wyszli poza obręb światła lampki rzucającej jasny krąg na telegraficzny aparat.

– Mam jedną kabinę zapasową – odezwał się kapitan, przestępując wysoki próg. – Nie wiem tylko, czy będzie pani zadowolona, bo teraz, po nocy, niewiele da się w niej zmienić.

– To głupstwo, kapitanie, przecież z mojej winy ma pan tyle

kłopotu.

– To tutaj.

Borkowicz stuknął palcem w politurowane deski.

– Przyniosę klucze.

– Kiedy wchodziłem na pokład – odezwał się Stempkowski – myślałem o jakiejś przygodzie na morzu, dalekiej przygodzie.

– Doprawdy? – powiedziała żywo.

– A teraz jestem świadkiem takiej przygody.

– Wszystkiemu winno moje roztargnienie.

– I noc.

– Oczywiście. W dzień nie mogłabym popełnić omyłki. Zbyt dobrze znam „Wikinga”, ale pan... Skąd pan się tu znalazł? Przepraszam za ciekawość, ale przecież ten statek jest tylko transportowcem.

– To prawda. A ja jedynym jego pasażerem oprócz cukru i ryżu.

– Czyżby to był okręt... zabłąkanych?

Stempkowski zaśmiał się cicho.

– Nie, ja zjawiłem się tutaj zupełnie celowo. Taka mała wycieczka do Helsingforsu.

– Jest pan dziennikarzem?

– Tak.

– Szuka pan wrażeń na morzu?

– O nie, raczej odpoczynku. Wrażeń mam dosyć w mieście, a na jakąś przygodę tutaj, na Bałtyku, nie liczę zupełnie.

– A jednak...

Stempkowski popatrzył na nią ciekawie i nic nie odpowiedział.

– Czy to, że mnie pan poznał, to nie jest przygoda?

– W pewnym stopniu tak, ale ja występuję tutaj tylko w roli widza.

– Wolałby pan być aktorem?

– To mi lepiej odpowiada.

– Kto wie, kto wie? – powiedziała tajemniczo. – Może pańskie życzenia zostaną zaspokojone. Przecież, jak się czegoś bardzo pragnie, to zwykle się to osiąga.

– Tak pani sądzi?

– Jestem tego pewna.

– Przyszłość pokaże.

– Pokaże... – powtórzyła sennym, leniwym głosem i urwała w połowie zdania.

Odgłos kroków rozległ się w głębi korytarza. Z półmroku wyłoniła się sylwetka kapitana.

– Już jestem.

– Szybko.

– U mnie to tak zwykle.

Zaszcząkał klucz w otworze błyszczącego zamku. Cicho skrzypnęły zawiasy gładkich drzwi.

– Pani pozwoli...

Borkowicz pierwszy wszedł do środka. Błysnęło światło. Angielka jednym baczny spojrzeniem zlustrowała całą kabinę.

– Bardzo tu ładnie. I tak czysto.

– Nie będziemy pani przeszkadzać.

– Dobranoc – powiedziała, uśmiechając się mile.

– Dobranoc.

Ręka Stempkowskiego po raz drugi zacisnęła się lekko na delikatnej dłoni kobiety.

Wyszli na korytarz, a za nimi zasunęły się powoli drzwi.

– No i jak ci się to podoba?

– Pytałeś mnie już raz w ten sam sposób przy wyjeździe z portu.

– Pragnąłeś wtedy ujrzeć węża morskiego, ale myślę, że teraz już nie chcesz.

– Nie chcę. Ta sprawa jest ciekawsza od wszystkich węzów morskich całego świata.

– Śpiący jestem.

– A ja nie.

W kapitańskiej kajucie paliła się lampa. Borkowicz przeszedł przez swój gabinet, nie zatrzymując się. Obok znajdowała się jego sypialnia.

– Jak to dobrze, że kazałem postawić tutaj drugie łóżko – powiedział, rozpinając marynarkę.

– Acha – mruknął dziennikarz, budząc się z zamyślenia. – Nie miałbym się gdzie podziąć.

– O czym tak dumasz?

Lekkie rozkołysanie dało się odczuć w kabinie.

– Minęliśmy linię helskiego cypla.

– Dopiero? – zdziwił się Stempkowski. – A mnie się zdawało, że to już pół nocy przeszło.

– Na szczęście nie. Jeszcze będę mógł się wyspać.

– No i co ty sądzisz o niej?

Borkowicz zatrzymał się niezdecydowanie. Na wpół zdjęta marynarka wisiała na jednym ręką.

– Należałoby uprzedzić Orcela.

– A po co? Przecież ona i tak będzie spała całą noc. Zdążysz jeszcze powiedzieć rano.

– Masz rację – zgodził się kapitan i ściągnął rękaw marynarki z drugiej ręki.

– Co sądzisz o niej? – Stempkowski powtórzył pytanie.

– Dużo ciemnych punktów jest w tej całej sprawie.

– Nawet sprzeczności.

– Tego nie zauważyłem.

– Najpierw spieszyło się jej bardzo, a teraz ma zamiar jechać

aż do Helsingforsu.

– To jeszcze nie jest sprzecznością. Możemy rzeczywiście nie spotkać okrętu jadącego do Kopenhagi.

– Ani do Gdyni?

– Widzisz – Borkowicz począł rozsznurowywać buty – dopiero, jak spotkamy taki okręt, będziemy wiedzieli, jak ta Angielka postąpi. Ja jej mam do zarzucenia zupełnie coś innego. – Kapitan podniósł głowę. – Wypadek ze Stanisławskim.

– Nie mylisz się? Czy to rzeczywiście ta sama osoba?

– Z początku nie byłem pewien, ale obecnie mógłbym dać sobie rękę uciąć, że się nie mylę.

– Ja dostrzegam w tym wszystkim nowe wątpliwości.

– Co takiego?

Buty stuknęły o podłogę.

– Bo patrz – Stempkowski zapalił papierosa. – Jeśli wtedy, kiedy weszliśmy do kabiny, wzięła cię za Hansa Lubitscha, to znaczy, że go przedtem nie widziała.

Borkowicz parsknął śmiechem.

– Co ty mi za jakąś filozofię opowiadasz? Oczywiście, że nie widziała go tutaj, Lubitsch nie jest kapitanem „Robota”, ale przecież musi go znać.

Stempkowski potrząsnął głową.

– Nie o to mi chodzi. Czy pamiętasz, jak zapytała nas, czy Lubitsch nie jest już kapitanem statku?

– Pamiętam.

– Jakiż więc z tego wniosek? Że nie widziała go od dłuższego czasu.

– Prawda.

– Skąd więc mogła wiedzieć, że „Wiking” jest zakotwiczony w Gdyni, a nie w Gdańsku? Przecież to gdański parowiec.

– Może była przedtem w Gdańsku i tam jej powiedziano...

– To absurd – przerwał mu dziennikarz – bo wówczas wiedziałaby na pewno, że Lubitsch w dalszym ciągu jest kapitanem „Wikinga”.

– Słusznie. Do licha, zagmatwana jakaś sprawa.

– Nawet bardzo zagmatwana.

– Ale spróbujmy ją wytłumaczyć.

Borkowicz siadł na łóżku.

– Przypuśćmy, że pisała do Lubitscha list, dajmy na to przed dwoma tygodniami, że wyjeżdża do Kopenhagi, i pytała go, czy przypadkiem nie wybiera się w tamtą stronę. O ile wiem, „Wiking” jest okrętem „włóczęgą” i nie ma z góry ustalonych rejsów.

– Niech będzie i tak – zgodził się dziennikarz. – Ale co dalej?

– Przypuśćmy, że Lubitsch jej odpisał, że właśnie za dwa tygodnie wybiera się do Kopenhagi, ale poprzednio będzie w Gdyni.

– Rozumiem. Przypuśćmy, że Lubitsch nie był wówczas pewien, czy będzie nadal kapitanem „Wikinga”...

– Rozumiem już wszystko. Tylko dlaczego przyjechała tu w tak tajemniczy sposób? Dlaczego Lubitsch nie wyszedł po nią na stację?

– Przede wszystkim kapitan okrętu, odpływającego za kilka godzin, na pewno nie będzie miał czasu na takie głupstwa. Wiem o tym z własnego doświadczenia. A po drugie, skąd wiesz, że przyjechała koleją?

– Więc jak?

– Statkiem.

– Więc chyba z Gdańska?

Borkowicz nic nie odpowiedział.

– A to się nie zgadza z moim założeniem.

– Ech, dajmy temu spokój. To nas nie doprowadzi do niczego.

– Ale sam przyznasz, że taka pomyłka wygląda dość dziwnie.

– Bardzo dziwnie, ale gdyby to było zrobione umyślnie, to w jakim celu?

Borkowicz machnął desperacko ręką.

- Nie wiem, w jakim celu.
- Wobec tego chodźmy spać.
- Przejdę się jeszcze trochę po pokładzie.
- Tylko nie budź mnie.
- Dobrze.

Kapitan ziewnął głośno. Stempkowski przeszedł przez gabinet. Zwolnił kroku na korytarzu, a kiedy mijałabinę Angielki, stąpał na palcach. Za politurowanymi drzwiami panowała niczym niezmacona cisza. Ciepły wiatr dmuchnął mu w twarz zapachem słonej wody. Tysiące gwiazd jarzyło się na niebie, a w stronie dalekiego lądu leżała ciemność. Lekko kołysały się pokładowe deski. Szum fal rósł i cichł na przemian. Sapanie maszyny wydobywało się z dwóch, nastawionych na wiatr, wentylatorów. Czarny komin promieniował kręgiem ciepła. Na mostku kapitańskim błyszczało światło. Stempkowski skierował się w tamtą stronę.

V.

Przebiegł szybko stopnie schodków łączących oba pokłady. Z wyżyn mostka padał długi cień. Stempkowski dojrzał sylwetkę porucznika Orcela. Zwolnił trochę kroku. Sylwetka drgnęła i odwróciła się.

- Kto tam?
- To ja.
- Nie śpi pan?

Stempkowski natrafił ręką na koniec poręczy.

– Jak pan widzi – odparł, wspinając się. – Diabło niewygodne są te schodki.

- Ba, któż mógł przypuszczać, że pan będzie po nich chodził.

– Grunt, to przewidywać...

– To trudna sztuka.

Dziennikarz zatrzymał się tuż obok oficera.

– Prawda. Któżby na przykład mógł przewidywać – powiedział, ścisząc głos – że „Robot” będzie wioził na swym pokładzie kobietę?

Orcel wytrzeszczył oczy.

– Co pan mówi?

– To, co pan słyszy.

– Kawalarz z pana, panie redaktorze.

– Ani mi się śni żartować.

– Jak to?

Dziennikarz kiwnął głową w stronę sternika. Orcel zrozumiał ten gest i wycofał się poza obręb światła.

– Trzymać się kursu – rzucił na odchodne.

Podeszli do barierki okalającej mostek.

– Mamy kobietę na statku.

Oficer popatrzył badawczo na Stempkowskiego. Uśmiech niedowierzania ukazał mu się na ustach.

– Nie wierzy pan? Jutro sam ją pan zobaczy.

– Kapitan mi nic nie mówił, że oprócz pana...

– Skąd mógł wiedzieć?

– Nic z tego nie rozumiem.

– Pociesz się pan, że ja również.

– Ale skąd się tu wzięła kobieta?

– Jak to skąd? Po prostu wsiadła na okręt.

– Kto ją wprowadził?

– Nikt. Sama weszła.

– To niemożliwe.

– A jednak prawdziwe. Posłuchaj pan...

W tym miejscu Stempkowski opowiedział całą historię zjawienia

się Alicji Wedwood na pokładzie „Robota”. Kiedy skończył mówić, oficer zdjął czapkę i obtarł chustką czoło.

– Nieprawdopodobne, nieprawdopodobne... – wyszeptał po chwili.
– Odkąd zetknąłem się z morzem, a stało się to dość dawno, nie słyszałem jeszcze o czymś takim...

– I cóż pan sądzi?

– Może chciała jechać na gapę?

– Do Finlandii z duńską wizą? A na dodatek wszystkiego, w kapitańskiej kajucie?

– Więc może... ba, żebym ja wiedział...

– Och – Stempkowski uderzył się dłonią w głowę – może po prostu chciała coś zabrać z kajuty i nie zdążyła?

– Wątpię. Przecież nic takiego tutaj nie ma.

– A pieniądze?

– W kasie. Wytrychem się jej nie otworzy. To solidna kasa.

– Ale zamiary mogły być.

– Mogły. Ma pan rację.

– Jeszcze pewna rzecz jest w tej sprawie ciekawa, a właściwie zbieg okoliczności.

– Co takiego?

– Słyszał pan o Stanisławskim?

– Kapitan mówił mi kiedyś.

– To jest właśnie ta Angielka.

– Zdumiewające. Ale czy poznała kapitana?

– Nie sądzę. Chociaż, kto wie... Mam wrażenie, że to jest bardzo sprytna osoba.

– I co z nią zrobimy?

– Nie ma żadnych dowodów na to, że jej opowiadanie jest nieprawdziwe, a co się tyczy tamtej sprawy – myślę, że jest to zwykły zbieg okoliczności.

- Ciekawy zbieg okoliczności.
- Ale nic więcej?
- Zobaczymy, co z tego wyniknie. W każdym razie trzeba będzie zawiadomić konsulat angielski w Helsingforsie.
- O ile nie pozbędziemy się jej wcześniej. Być może, że spotkamy akurat statek płynący do Kopenhagi.
- Orcel po raz drugi obtarł czoło i nasunął czapkę na oczy.
- Gorąca noc – powiedział, wachlując się chustką.
- Niech pan nie narzeka, zima nie ucieknie.
- To piekielna służba zimową porą. Ugrzęźliśmy kiedyś w lodach w samej głębi Zatoki Fińskiej. Myślałem, że nam wtedy statek rozwali.
- No, czas na mnie.
- Idzie pan spać?
- Tak.
- W takim razie dobranoc.
- Dobranoc.

Orcel zawrócił w stronę kabiny sterniczej. Stempkowski zeszedł na górny pokład, zatrzymał się chwilę, popatrzył na morze, a potem zbiegł szybko z kilkunastu stopni drewnianych schodków.

VI.

Już miał zniknąć w ciemnym wnętrzu korytarza, kiedy wzrok jego zupełnie mimo woli padł na jakąś białą sylwetkę opartą o poręcz lewej burty statku.

– Kto to być może? – zastanowił się na sekundę, a potem szybko podszedł w kierunku tajemniczego cienia. Na odgłos jego kroków sylwetka poruszyła się niespokojnie.

- To pani – wyszeptał, zatrzymując się raptownie.
- Ja.
- Czemuż pani nie śpi? Może kabina niewygodna?
- Bardzo wygodna – powiedziała półgłosem – ale noc taka piękna, że szkoda spać.
- Będzie pani zmęczona jutro.
- Tyle jeszcze godzin do jutra. Myślę, że przecież nikomu tutaj nie przeszkadzam. Niech się pan mną nie krępuje...
- Ale cóż znowu, nie mam w tej chwili żadnego zajęcia, a gdyby nawet...
- Ale może pan śpiący?
- Nie – odparł po prostu – i jeżeli pani nie przeszkadzam?...
- Mnie? Bynajmniej.
- Często pani podróżowała po Bałtyku?
- Dużo razy. Nie tylko po Bałtyku. Znam tyle mórz.
- Dalekich?
- Bardzo dalekich. Morze Śródziemne i Adriatyk, Ocean Atlantycki i Spokojny.
- Zna pani przylądek Horn?
- Mijałam go dwukrotnie. Raz nawet na żaglowcu.
- Kto by to myślał, że z pani taki marynarz.
- Nie wyglądam?
- Pani? – Stempkowski uśmiechnął się lekko. – Pani nie wygląda na osobę zdolną do znoszenia kłopotów dalekich podróży.
- Pozory mylą. Przewędrowałam pół świata.
- Zazdroścę pani.
- Nie ma czego. Ja czasem chciałabym już nareszcie zawinąć do jakiejś spokojnej przystani.
- Czemu pani tego nie robi?
- Różne są powody. Być może, że jeszcze nie znalazłam takiej,

a może po prostu gna mnie z miejsca na miejsce jakiś dziwny głód przestrzeni. To prawdziwa choroba. Nie wyleczę się z niej chyba nigdy.

– A jednak wiele osób zazdrościłoby pani.

– Żyjemy w sferze pragnień – powiedziała powoli. – Osiągnięty cel traci dla nas wartość. Ja zazdroszczę tym, których nic nie ciągnie w świat. Szczęście nie wymaga wielkich przestrzeni. Łatwiej je tam zgubić, niż znaleźć.

– Czy Jack London nie był szczęśliwy?

– Wątpię. To typowy obieżyświat, człowiek, który całe swe życie szukał i szukał czegoś, ale czego? Czy zdawał sobie z tego sprawę?

– Ja wolę jednak ludzi tego typu od zwykłych zjadaczy chleba.

– Ci drudzy istnieją po to, żeby mogli istnieć ci pierwsi.

– Ale z tych pierwszych rekrutują się wielcy odkrywcy i zdobywcy nowych lądów. Potęga narodu pani wyrosła na barkach tych ludzi.

– Minęły już okresy odkryć i romantycznych walk.

– Nie zgadzam się z panią – Stempkowski zaprotestował gwałtownie. – Wielkie serca i wielkie dusze zjawiają się bez względu na epokę...

– Lekka przesada. Nie zawsze odkrywcy byli ludźmi niezwykłymi. Wielu wielkich nie opuszczało nigdy swego rodzinnego kraju. Newton jest dla mnie geniuszem, Krzysztof Kolumb przypadkowym odkrywcą Indii Zachodnich i to dla czysto materialnych celów. Wzbogacił się zresztą na tym wcale nieźle.

– A jednak obydwu tych ludzi wiodło pragnienie zbadania tajemnicy świata.

– Zabawną prowadzimy rozmowę.

– Dlaczego?

– Ponieważ pan mówi tak, jakby był sam jednym z takich „obieżyświatów”, a ja, jak gdybym spędziła całe swe życie w czterech

ścianach pokoju.

– Może właśnie dlatego...

– Na pewno dlatego. Najwięcej się chwali to, czego się nie zna, albo co się zna tylko powierzchownie.

– Można wiedzieć, czym się pani zajmuje?

– Jaki pan ciekaw.

– Przepraszam za niedyskretne pytanie.

– Obecnie jestem agentką firmy „Vickers”.

– Pani?

– Ja. – Skinęła lekko głową. – Czy to pana dziwi?

– Nawet bardzo. O ile mi wiadomo, „Vickers” zajmuje się produkcją broni.

– Między innymi i tym.

– Nie sądziłem, że kobiety mogą się znać na tych sprawach.

– Jak pan widzi, istnieją pewne wyjątki.

– Czy pani w celach zawodowych przybyła do Polski?

– Z pana to prawdziwy dziennikarz. Zaraz chciałby pan wszystko wiedzieć.

– Wobec tego cofam swoje pytanie.

– Nie mogę przecież panu zdradzać tajemnic zawodowych.

– Czy i na przylądek Horn jeździła pani jako agentka firmy?

– Proszę sobie nie żartować ze mnie. – Pogroziła mu palcem. –

Tamto to była podróż dla przyjemności.

– A ile czasu trwała?

– Trzy miesiące.

– W wygodnym przedsiębiorstwie pani pracuje. Urlop trzymiesięczny...

– Wówczas nie miałam żadnego zajęcia.

– Który raz pani jest w Polsce?

– Czwarty.

Stempkowski oparł się o poręcz. Z trudem powstrzymywał pytanie cisnące mu się na usta: – „Czy pani znała Stanisławskiego?”.

Zarzucał kiedyś Borkowiczowi, że postąpił zbyt ostro, nie należało popełniać tego samego błędu. A jednak...

Był to najłatwiejszy sposób zdobycia prawdy.

– Niech pan popatrzy na fale. Wyglądają jak srebrne. Dawno nie widziałam takiego morza.

– A ja takiej osoby.

Zaśmiała się półgłosem.

– Czy mam to uważać za komplement?

– Bez wątpienia. Rzeczy rzadkie są cenne.

– Uważa mnie pan za taką rzadkość?

Stempkowski raczej odczuł, niż dostrzegł, spojrzenia czarnych oczu na swej twarzy. Coraz mniej tajemniczym wydawało mu się samobójstwo Stanisławskiego.

– Uważam panią za bardzo ciekawą osobę.

– Doprawdy?

– A tak.

Dwukrotnie odezwała się syrena „Robota”, a z ciemnej dali nadleciało podobne wołanie.

– Statek – powiedział półgłosem dziennikarz.

– Może się założymy, jakiej narodowości?

– Zgoda. Ja stawiam na polski.

– Ja twierdzę, że to będzie niemiecki parowiec.

– Ale jak sprawdzimy?

– Może się uda nam dojrzeć?

– To zależy od tego, jak daleko będzie nas mijał.

– Czekajmy.

Spod jasnej smugi księżycy wypłynęła czarna, podłużna masa. Dwa światła paliły się po obu jej stronach, a nad dziobem również

błyszczało okrągłe, białe oko.

- To transportowiec. Dlatego taki ciemny.
- Ale jakiej narodowości?
- Wątpię, czy będziemy mogli to sprawdzić.
- Niech pan się zapyta dyżurnego oficera.
- Zaraz to zrobię.

Przebiegł szybko przestrzeń dzielącą oba pokłady.

- Co się stało?

Porucznik Orcel zaniepokoił się nie na żarty.

- Dlaczego pan nie śpi?
- Nic się nie stało, zupełnie nic. Może mi pan powiedzieć, co to za statek tam płynie?

- Czy to zagadnienie wypędziło pana z kabiny?
- Nie byłem w kabinie.
- Więc cóż pan robił?
- Rozmawiałem.
- Czemu pan tutaj nie przyszedł?
- Rozmawiałem z tą Angielką.
- Widział pan ją teraz?
- Stoi na dolnym pokładzie.
- Cóż jej się stało?
- Powiedziała, że noc taka piękna, że nie warto spać.

Orcel nieznacznie wzruszył ramionami.

- Więc chodzi panu o ten okręt?
- Tak, to zakład.
- Co za zakład?
- Założyłem się, że to polski statek.
- I wygrał pan.
- Na pewno?
- To „Warszawa” Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego.

– Skąd pan wie?
– Widzę.
– W tym mroku?
– Widzę mózgiem.
– Chyba że tak. – Stempkowski zaśmiał się głośno. – Cóż to za nowy zmysł?
– Prawdziwi marynarze posiadają go zawsze. Nie tylko zresztą marynarze.
– Idę już.
– Długo pan będzie jeszcze sterczał na pokładzie?
– To nie zależy ode mnie.
– Rozumiem. Bardzo ładna ta Angielka?
Orcel zmrużył jedno oko.
– Ładna, ale cóż z tego? Ładna i tajemnicza.
– Niebezpieczna.
– Prawie.
– Życzę panu powodzenia.
– W czym?
– W rozmowie – odparł oficer i odwrócił się w stronę kompasu.
Dziennikarz zbiegł po schodach.
– Wygrałem – powiedział, stając przy poręczy. Spojrzenie czarnych oczu zatrzymało się badawczo na jego twarzy.
– Coraz więcej statków pływa pod waszą flagą.
– W 1927 roku mieliśmy sześć statków, pojemności ponad jedenaście tysięcy ton rejestrowych brutto, w roku 1933 – trzydzieści jeden o pojemności ponad sześćdziesiąt tysięcy ton. Poza tym trzy okręty są już zamówione.
– To jeszcze mało.
– Będzie więcej.
Zaśmiała się półgłosem.

- Skąd ta pewność?
 - Bo tak być musi.
 - Ale dlaczego?
 - Dlatego, że nie mamy zamiaru na nowo popaść w niewolę u naszych sąsiadów.
 - Cóż to ma za związek z flotą handlową?
 - Flota handlowa to nasza niezależność gospodarcza. Bez niej utracilibyśmy rychło i naszą niepodległość. Tak już zresztą działo się z nami dawniej. Najpierw zabrano nam morze, a potem wolność.
 - Nie jesteście narodem żeglarzy.
 - Polacy przemierzali wszystkie szlaki świata.
 - Cóż pan mówi? Gdzie są te wasze odkrycia?
 - My pierwsi zajęliśmy Kamerun, a zresztą... zbyt mało reklamowaliśmy się. Sto pięćdziesiąt lat niewoli politycznej nie pozwoliło na żadną ekspansję zewnętrzną.
 - Zgoda, ale przedtem, przedtem?...
 - Słyszała pani o Beniowskim? Rządził Madagaskarem jeszcze przed przybyciem tam Francuzów.
 - Któż jeszcze?
 - Jan z Kolna.
 - To legenda, znam ją dokładnie. Nie istnieje żaden dowód, że Jan z Kolna był Polakiem.
 - Pani mnie zadziwia!
- W okrzyku Stempkowskiego zabrzmiał szczerzy podziw.
- Czym? – zapytała, odwracając raptownie głowę w jego stronę.
 - Wiadomościami.
 - Interesuję się czasem tymi sprawami, po prostu i z nudów.
 - A wie pani, kto to był Tomasz Sierpinek?
 - Admirał polski.
- Stempkowski zacisnął kurczowo ręce na zimnym żelazie poręczy.

– Zadziwia mnie pani, zadziwia... – powtórzył półgłosem.

Alicja Wedwood zaśmiała się cicho.

– Ale jeżeli pani wie nawet to, przypuszczam, że wie pani również o tym, że Puck był niegdyś wojennym portem Polski i że na Półwyspie Helskim wznosiła się warownia morska od imienia wówczas panującego króla nazwana Władysławowem.

– Sporadyczne wysiłki.

– A kolonizacja polska w Paranie?

– Nie trzeba mieszać rolników z podróżnikami.

– A Gdynia?

– Doceniam ją w całej pełni. Gdynia – to Polska obecna. Przeszłość niewielką zostawiła wam tradycję morską.

– Bitwa pod Oliwą?

– To jedno.

– Kaperstwo polskie?

– To drugie. Cóż więcej?

Stempkowski rozłożył ręce.

– Jest pani nienasyconą – powiedział raptem. – Czyż tradycja jest rzeczą konieczną? W lotnictwie nie mieliśmy żadnych tradycji, a dzisiaj? Żwirko, Wigura, Skarżyński...

– Prawda, ale zmieńmy już temat rozmowy – zaproponowała. – Jednostajność mnie nuży.

– Tak, jak każdego podróżnika.

– Być może.

– Chcę się jeszcze tylko zapytać, skąd pani tak dobrze orientuje się w naszej historii morskiej?

– Dobrze? Nie wiem.

– Jak na cudzoziemkę i do tego kobietę...

– Cóż za złośliwość...

– Kobiety zwykle mniej interesują się historią.

- A więcej czym? – zapytała przekornie.
- Krojem sukien, wieczną ondulacją i...
- Niemożliwy z pana człowiek.
- Ale odpowie mi pani na pytanie?
- Odpowiadam. Niech pan słucha uważnie.
- Bardzo uważnie.
- Jestem wyjątkiem.

Stempkowski w milczeniu skłonił głowę.

- Rozczarowała pana moja odpowiedź, co?
- Wprost przeciwnie. Jestem oczarowany.
- Wobec tego uzupełnię ją jeszcze. Zbyt często przyjeżdżałam tutaj, żeby nie zainteresować się sprawami waszego morza. Czy ta odpowiedź zadawała pana?

- W zupełności.
- Przeprowadził pan ze mną formalny wywiad.
- Czy będę go mógł podać do wiadomości?...
- Swoim czytelnikom?
- Tak.

Roześmiała się głośno.

- Czy to takie zabawne?
- Owszem. Nawet bardzo, ale dlaczego, tego panu nie powiem.
- Jest pani pełna tajemniczości.
- Nie uważam tego za wadę.
- Ani ja.
- Zgadzą się ze sobą. Może pan ten wywiad wydrukować.
- Czy przysłać go pani?
- Przecież ja nic nie rozumiem.

Roześmieli się oboje.

- Nie wie pan, kim ja jestem – odezwała się po chwili. – Widzimy się pewnie pierwszy i ostatni raz życiu...

- Nie ostatni, bo jeszcze jutro...
- No tak, ale... ale nie zobaczymy się już więcej.
- Skąd ta pewność?
- Odpowiem panu na to jego własnymi słowami: bo tak być musi.
- Dlaczego?
- Żałuje pan?

Jej głos zniżył się aż do szeptu.

- Tak.
- Nie trzeba – powiedziała półgłosem – tak będzie lepiej.
- Nie zostawi mi pani żadnych nadziei?

Nic mu nie odpowiedziała. Z szarej dali nadbiegał poszum fal. Pieniste ich grzebienie mieniły się bladofioletowym światłem księżycowej pełni. Czarny, kłębiasty dym buchał z otworu wielkiego komina i włókł się za statkiem. Na pokładach panowała ciągle ta sama, niczym niezmacona cisza. Ciągłe tak samo błyszczało światło na kapitańskim mostku, a porucznik Orcel spoglądał na zegarek i z upragnieniem oczekiwał końca wachty.

Spokojna, nieprzenikniona, srebrna noc.

Gdzieś u dalekich brzegów gasły ostatnie światła błyszczące w oknach domów. Gdzieś w dalekich miastach brzęczało wiecznym gwarem uliczne życie. Po żelaznych szlakach pędziły dudniące pociągi. W wielkich fabrykach zgrzytały stalowe maszyny. Po drutach telegraficznych biegły rozbrzęczone depesze. Centrale telefoniczne huczały odgłosem ludzkich słów.

- Halo, Paryż!
- Halo, Londyn!
- Halo, Warszawa!

Na obydwu pokładach „Robota” dmuchał tylko ciepły wiatr. Wiatr i wielka przestrzeń, nieodstępni towarzysze morza.

Stempkowski w milczeniu obserwował delikatny profil twarzy

Angielki.

Alicja Wedwood cofnęła się nieco i oparła o gładki drążek belki szalupowej. Patrzała prosto przed siebie, nie mówiła nic i zdawała się nie dostrzegać dziennikarza. Wydała się Stempkowskiemu w tej chwili tak piękną, jak tylko piękną może być kobieta. Jakiś cień niedostrzegalnej tajemnicy otaczał jej smukłą sylwetkę. Bo czemuż mówiła, że: „nie zobaczymy się już nigdy”, i że: „tak będzie lepiej”?

Któż to odgadnie?

– Senna jestem – szepnęła w pewnej chwili, odwracając się do swego towarzysza. – Przepraszam pana, ale zamyśliłam się tak bardzo... Chodźmy już.

Przeszli wszerz pokład i zniknęli we wnętrzu korytarza.

– To tutaj – odezwał się Stempkowski, zatrzymując się przed drzwiami kajuty.

– Dziękuję panu. Na pewno bym się pomyliła. Życzę panu dobrej nocy.

– Nawzajem.

– I niech pan nie gniewa się na mnie, że go tak długo nudziłam.

– Z rozmowy z panią jestem bardzo zadowolony.

– Cieszę się z tego.

Podążyła mu rękę i zniknęła.

VII.

Na pięć minut przed wybiciem wachtowego dzwonu drugi oficer okrętowy, porucznik Norden, opuścił kabinę.

Dzień już wstał dawno, ale szary jakiś, zachmurzony, niewrózący dobrej pogody. Drobniutkie kropelki wilgoci osiadały na wszystkich metalowych częściach okrętu. Największy wróg marynarza – mgła,

zdawało się, że już wisiała w powietrzu.

Norden popatrzył na zachmurzone niebo, potrząsnął beznadziejnie głową i wrócił do kajuty po czarny, ceratowy płaszcz. Ukazał się znowu i pośpiesznie zapinając guziki, wbiegł po gładkich, śliskich od wody schodkach.

Uderzenia dzwonu wachtowego wstrząsnęły powietrzem. Tym razem metaliczny głos nie rozprzestrzenił się daleko, ale cichł raptownie, jak gdyby tłumiony jakąś miękką materią.

Orcel znajdował się w najbardziej pesymistycznym nastroju.

– Trzeba zmniejszyć bieg – zwrócił się do drugiego oficera. – Pole widzenia coraz gorsze.

– Może jeszcze się przejaśni.

Norden powiedział to głosem zupełnie zrezygnowanym.

– Mgła idzie. Będzie pan miał robotę, jak sto diabłów.

– Jaka była noc?

– Cudowna. Widno, jak w dzień. Ten Bałtyk jest zupełnie niemożliwy.

– Północny wiatr?

– Północno-wschodni. Zaraz nam tu naniesie mgły. Będziemy tkwić w niej, jak w wacie. Trzymaj się pan kursu i... aha, co to ja chciałem powiedzieć, mamy kobietę... – Nie omieszkał pochwalić się Orcel.

Norden zamrugał zaspanymi oczami.

– Pasażerka?

– Nieproszona pasażerka. Przez pomyłkę dostała się na nasz statek, a w ogóle to bardzo tajemnicza osoba. No, czas na mnie.

Machnął ręką i szybko zeszedł na dół, pozostawiając drugiego oficera pełnego niezaspokojonej ciekawości.

Ciekawość ta widać bardzo mocno męczyła Nordena, bo zaledwie zniknęła mu z oczu sylwetka Orcela, zwrócił się do marynarza

stojącego przy kole sterowym:

- Słyszeliście co?
- Słucham, panie poruczniku.
- Norden wzruszył ramionami.
- Słyszeliście co o tej pasażerce?
- Nie, panie poruczniku.

Norden zrezygnował z dalszych pytań. Popatrzył na morze i skulił ramiona. Fale miały kolor brudnozielony. Pieniły się długimi liniami na wschodzie i północy. Łamały się nieforemnie na dziobie okrętu. Dmuchał wiatr chłodny i przenikliwy. Przynosił ze sobą drobniutkie kropelki wody, osadzał je na mosiężnych okuciach poręczy schodów, na ubraniach ludzi, na ich rękach i twarzach. Cały pokład lśnił od rosy.

W kapitańskiej kajucie Stempkowski znużonym okiem spoglądał w iluminator.

- Oto pogoda – powiedział z wyrzutem.
- Borkowicz zapalił papierosa.
- Cóż ja temu jestem winien! Poznasz morze podczas deszczu.
- Sądzisz, że będzie deszcz?
- Dobrze by było...
- Dziękuję ci za to „dobrze”.
- Bo obawiam się mgły.
- Wolę już to.
- Ale ja, nie.
- Słuchaj. – Stempkowski siadł na łóżku.
- Co takiego?
- Czy nie powinienesz przypadkiem sprawdzić zawartości swego biurka? Ja nikogo nie podejrzewam, ale ta wczorajsza niespodziewana wizyta...
- Borkowicz kiwnął głową.

- Już to zrobiłem.
- Kiedy?
- Wczoraj. Po twoim odejściu.
- I co?
- Wszystko w porządku.
- Wiesz, rozmawiałem z tą Angielką.
- Chyba we śnie.
- Nie we śnie, tylko właśnie wtedy, wieczorem.
- W kajucie?

Wyraz komicznego zdziwienia ukazał się na twarzy Borkowicza.

- Spotkałem ją na pokładzie.
- Była taka śpiąca...
- A jednak nie spała.
- Cóż ci mówiła?

– To mądra osoba i dlatego coraz mocniej zastanawiam się nad celem jej pobytu tutaj. Gdybyś miał okręt wyładowany złotem, gdybyś wiózł jakieś dyplomatyczne akta, gdybym ja wreszcie jechał w jakiejś dyplomatycznej misji do Finlandii – obawiałbym się bardzo tej kobiety. Ale, do licha, ryż nie jest złotem, księża okrętowa – tajnym szyfrem, a ja nie jestem ministrem pełnomocnym!

Borkowicz parsknął śmiechem. Wzrok jego prawie bezwiednie skierował się na małą kasę pancerną, stojącą w rogu kabiny. Stempkowski wzruszył ramionami.

– Myślę – powiedział – że zawartość kas transoceanicznych statków bardziej może pociągać międzynarodowych złodziei niż taki mały „Robot”, a do tego jeszcze transportowiec. Skarbów tutaj nie znajdą, to pewne.

– Za pozwoleniem! – zaprotestował półserio kapitan. – Wolę mego „Robota” od najpiękniejszego motorowca White czy Cunard Line.

– Ty tak, ale nie oni.

Zapukano do drzwi. Chłopiec okrętowy, pomocnik kuchcika, cienkim głosem zawiadomił o śniadaniu.

– Nakrycia na trzy osoby! – rzucił kapitan.

Kiedy chłopak oddalił się, dziennikarz wyraził swą wątpliwość.

– Skąd wiesz, że będzie z nami jadła? Może źle się czuje?

– Ech, przecież nie pierwszy raz płynie okrętem.

Kapitan prychnął pod strumieniem wody wypływającej z bulgotem z błyszczącego kranu.

– Uff, wstawaj leniu jeden.

– Spałem krócej od ciebie.

– A któż ci kazał?

– Względy grzeczności, a przede wszystkim rozum.

– Co? – Borkowicz zaśmiał się krótko.

– To wcale nie jest takie śmieszne, jak ci się wydaje. Chciałem ją pociągnąć za język.

– Ale bez skutku.

– Wprost przeciwnie. Dowiedziałem się, że pracuje w firmie „Vickers”.

Borkowicz przestał na chwilę wycierać się szorstkim, włóchatym ręcznikiem.

– O święta naiwności! Jaką masz gwarancję, że to jest prawda?

– Żadną. Ale po cóż miałyby kłamać? – Stempkowski postawił jedną nogę na podłodze.

– Słuchaj! Albo te wszystkie nasze domysły trzech groszy niewarte i Alicja Wedwood rzeczywiście przez pomyłkę dostała się na pokład „Robota”, a wówczas nie ma sensu zawracać sobie głowy tą całą historią, albo uczyniła to celowo i w takim wypadku to, co nam opowiada, jest kłamstwem.

Stempkowski nic nie odpowiedział, tylko począł powoli się ubierać.

W tej samej chwili drugi oficer okrętowy, porucznik Norden wzrokiem pełnym rezygnacji spoglądał na nadciągające białe, puszyste obłoki mgły. Od czasu do czasu zerkał w górę, w kierunku szarych płatów chmur rozpiętych na niebie, ale ratunek w postaci deszczu nie nadchodził.

– Zaczyna się zabawa – mruknął półgłosem, bardziej do siebie samego niż do sterczącego przy szturwale majtka.

– Pierońska pogoda.

– Wiatr niesie mgłę, panie poruczniku.

– Coraz gorzej z tym wiatrem, słabnie z każdą chwilą. Już nie rozgoni nam tej waty.

VIII.

Całe śniadanie upłynęło wśród rzadko przerywanego milczenia.

Borkowicz myślał o sprawie Stanisławskiego i unikał wzroku Angielki. Stempkowski usiłował rozwiązać tę dziwną zagadkę, jaką według jego mniemania był pobyt Alicji Wedwood na transportowcu „Robot”.

Za lśnącymi iluminatorami jadalni poczęły przesuwac się powoli pierwsze postrzępione pasma mgieł.

Syrena statku ozwała się zachrypniętym głosem.

– Zaczyna się muzyka – zauważył żartobliwie dziennikarz.

Borkowicz dopił pośpiesznie kawę z porcelanowej filiżanki. Brzęknęła trącona łyżeczka. Kapitan wstał od stołu.

– Muszę wyjść na pokład – wytłumaczył się z uśmiechem. – Mgła to najgorszy wróg marynarza.

Alicja Wedwood skinęła potakująco głową.

Wydało się Stempkowskiemu, że Angielka z trudem usiłuje zachować pozorny spokój twarzy, słów i gestów. Jej oczy błyszczały dwakroć mocniej niż nocy ubiegłej. Lekkie drżenie kącików ust świadczyło o jakimś mocnym, wewnętrznym podnieceniu.

– Co jej jest? – zastanowił się dziennikarz.

– Lubi pani mgłę? – zapytał, żeby przerwać kłopotliwą ciszę, jaka nastąpiła po odejściu kapitana.

– Stale żyjemy we mgle – powiedziała zagadkowo.

Stempkowski popatrzył na nią ciekawie.

– Jak to pani rozumie?

– Mgła zawsze otacza dzień jutrzejszy, nawet każdą godzinę, nawet każdą minutę.

– A przewidywanie?

– To tylko ta krótka przestrzeń, jaką można ogarnąć wzrokiem z wyżyn kapitańskiego mostku i to nawet nie zawsze dokładnie. Naszą lornetą – mózg, kompasem – serce, ale jakżeż często nas zawodzą ci pomocnicy.

– Gdybyśmy znali przyszłość, życie byłoby nudne.

– Zgadzam się z panem. Rzeczą człowieka jest rozwiązywanie tajemnic nieznanego jutra. W tym właśnie zawiera się walka o byt i to jest treścią naszego istnienia.

– Bardzo pesymistyczny pogląd.

Alicja Wedwood podeszła do okienka kabiny.

– Czasem staram się filozofować – powiedziała półgłosem. – Przywraca mi to równowagę ducha.

– Wygląda pani na osobę bardzo zrównoważoną.

– Staram się być taka, ale... dlaczego pan uważa mój pogląd za pesymistyczny?

Syrena okrętowa po raz drugi dała znać o swym istnieniu. Stempkowski odczuł nagłe zwolnienie szybkości okrętu. Iluminator zasłonił biały, nieprzenikliwy obłok. Półmrok ogarnął jadalnię.

– Dlatego – odparł dziennikarz – że celowość naszego życia sprowadza się w pojęciu pani do zera. Błąkamy się we mgle, idziemy na oślep w tym błędnym mniemaniu, że wiedzie nas prosta droga, a tymczasem...

– ...krążymy często dokoła jednego i tego samego punktu – dokończyła za niego szybko. – Czyż tak nie jest? Niech pan pomyśli. Nie błąkał się pan w swoim życiu, nie zawracał z raz obranej ścieżki?

– Więc życiem naszym kieruje przypadek?

– Łańcuch przypadków. Jeden wynika z drugiego. Nasza rola ogranicza się tylko do powzięcia decyzji na bardzo krótką metę i w każdym poszczególnym wypadku osobno. Linia wytyczna istnieje tylko o tyle, o ile NIEWIADOME nie staje na drodze naszych

zamierzeń.

Stempkowski przecząco potrząsnął głową.

– Nie zgadzam się z panią – powiedział twardo. – Nawet przypadki można wyzyskać dla osiągnięcia tego, co chcemy osiągnąć.

– Nasze chęci zmieniają się dość często.

– Od czegoż mamy wolę! Pani pogląd jest poglądem... proszę mi to wybaczyć... ludzi słabych.

– Uważa mnie pan za taką słabą osobę?

Lekki uśmiech przemknął po jej twarzy.

– Nie uważam i dlatego tak paradoksalnie wygląda ta teoria w ustach pani.

– Wyjdźmy na pokład – zaproponowała nagle. – Trochę świeżego powietrza nie zaszkodzi.

– Niech pani weźmie płaszcz, wilgoć musi być straszna.

– Radzę panu zrobić to samo.

Rozstali się na chwilę na korytarzu, a potem przemknęli się poprzez prostokątny otwór drzwi.

Obydwa pokłady tonęły we mgle. Co pięć minut wyła przeraźliwie syrena, a czarny tuman dymu wychodzącego z komina mieszał się z mgłą w brudnożółtą chmurę.

– Londyńska mgła – powiedział dziennikarz. – Niech pani uważa, można się przewrócić.

– Londyńska mgła to okropna rzecz – odparła. – Nie da się porównać z czymkolwiek innym. Kiedy opada na miasto, trzeba zapalać latarnie.

– Mamy pecha. – Zza białej zasłony dobiegł ich głos kapitana, a po chwili wynurzyła się z gęstych oparów biała czapka z granatowym otokiem.

– Mamy pecha. Z Gdyni wyjechaliśmy o dwie godziny za późno, a teraz znowu będzie opóźnienie.

- Przyniosłam panom nieszczęście.
- Alicja Wedwood zaśmiała się nerwowo.
- Nie jesteśmy tacy przesądni.
- Podeszli do barierki otaczającej pokład.
- Nic nie widać, zupełnie nic nie widać.
- Płyniemy w niewiadome – szepnęła Angielka do dziennikarza.
- Znowu zajęczała syrena.

IX.

URYWKI Z PAMIĘTNIKA DOKTORA WŁADYSŁAWA KOLCA



...słońce ślizga się po kwadratowych ramach białych okien. Za szybą szeleści jabłoń. Zaczyna już kwitnąć. Przecież to wiosna.

Właśnie teraz siedzę przed ciemnym biurkiem, poza tym wszystko jest białe. Krzesła świecą jasnością, z półki zastawionej książkami kapie złoty blask na brązową podłogę.

Od tygodnia jestem na nowym stanowisku.

Wielki szpital powiatowy w Olkiennikach. Nowy, ładny, pachnący czystością. Widoczny z daleka szeroką fasadą i dwoma pawilonami wyrzuconymi w obie strony – kamienne ramiona olbrzyma.

Z boku jest sad, dalej – spokojne aleje, po nich rankami gonią się drżące cienie obłoków.

Na wprost biegnie droga wysokich topoli, zlewa się z szosą,

u krańców której widnieją domy miasta.

Szpital jest za miastem.

Dnie postępują, płyną wolno, jeden za drugim, każdy bardziej jasny niż poprzedni i bardziej zielony rozkwitającymi pąkami drzew.

Jest już ciepło. W południe otwieram okno. Rano przechodzi tędy Lekarz Naczelny. Mówimy do siebie kilka słów. Ja, wychylony do połowy między dwiema gładkimi futrynami, on – oparty o kostropaty pień drzewa, unosząc nieco głowę ku górze. Mamy tu jeszcze trzeciego kolegę. Tak we trzech jemy śniadanie.

Oprócz nas – dwie pielęgniarki, stróż i woźnica. Codziennie przywozi gazety z miasta, czasem list, ale rzadko.

Chorzy mieszczą się w dwóch dużych salach i kilku pokojach. Żle powiedziałem: mieszczą się. Jedna sala jest pusta, na drugiej – kilka osób.

Jakoś nie mogę uskarżać się na przepracowanie.

Powracam do moich przerwanych badań bakteriologicznych. Wieczorem chodzę po ogrodzie z moim młodszym kolegą. Potem czytam książki przy elektrycznej lampie. W piwnicach jest mały motorek.

Prawdziwy raj, raj w olkiennickim szpitalu.

Zaczynam jeździć konno, jeszcze trochę na to za zimno, ale cóż mi to szkodzi? Za pierwszym razem machnąłem kozła w powietrzu, przed samym gankiem głównego gmachu. Nie dałem za wygraną. Jeżdżę co dzień, a nocami zaglądam do swych śmiercionośnych próbek.

Skrzypię butami po czekoladowym linoleum pracowni, mieszam i wstrząsam najgorsze trucizny świata – bakterie.

Wczoraj dostałem niebывały prezent. Małą, stalową blachą wyłożoną skrzynkę. Przysłano mi ją z Warszawy. Jakieś nadzwyczajne zarazki nieznannej choroby grasującej w puszcach Kongo i Zambezi.

Afryka – rzeźnia ludzkości!

Trzy próbówki z kilkunastu przywiezionych przez ostatnią naszą ekspedycję naukową. Doprawdy, mam szczęście.

Kiedy księżyc zagląda oknem, pod szkłem mego mikroskopu wirują małe, żywe nitki, cząstki cząstek, pyłki pyłów.

Ukryty wróg człowieka. Z nim toczy się walka na wszystkich frontach wszystkich narodowości. Jestem w okopie na pierwszej linii.

A co by się stało, gdyby tak stłuc trzy małe, błyszczące próbówki. Trzy sygnały zarazy strasznej, bo nieznannej!

Trzymam je w ręku, mogę rzucić o podłogę. Potoczą się z cichym brzękiem rozbijanego szkła. Potem oczekiwanie niespokojne: kto pierwszy?

Mój sąsiad, Lekarz Naczelny czy ja? A może ktoś z miasta?

Ostrożnie stawiam próbówki. Biada temu, kto wypuści ściśniętą w zimnym kolisku rurki mały świat żyjątek!

Wieczory i ranki przechodzą po sobie z niezachwianą pewnością. Wiosenne błoto schnie na drogach. Pszczoły brzęczą na kwiatkach jabłoni.

Ten spokój mnie nuży...



Nareszcie. Coś nowego.

Byłem w mieście po listy. Nasz furman zachorował. Nie wiemy, co mu jest. Pewnie jakieś lekkie przeziębienie. Zresztą mniejsza z tym.

Miasteczko, około ośmiu tysięcy ludności, dziwnie białe i czyste.

Starosta, burmistrz, aptekarz, doktor, cóż może być więcej w takiej zapadłej dziurze?

A jednak, wbrew przewidywaniom, nie ma tu jakichś typów zasuszonych i zapleśniałych autochtonów.

Naczelny lekarz, doktor Nowicki, kończył uniwersytet w Dorpacie,

Ramowicz – asystent, w Krakowie, ja – w Warszawie.

Trzy „końce świata” spotkały się w Olkiennikach. Zaczynam wierzyć, że kultura wielkimi krokami maszeruje przez nasz kraj.

Dzisiaj nie mamy gazet!

Jan, jak na złość, ciągle chory. Gorączka wzrasta stale. Co mu jest? Febra, malaria, tyfus, szkarlatyna?

Nie i nie! Nie wiem. „Naczelnym” także nie wie. Jesteśmy w położeniu człowieka chcącego wyjść z labiryntu. Niestety nie mamy kłębka.

Posuwamy się omackiem. Próbuujemy różnych środków. Może, może...

Gra idzie o wielką stawkę, o życie człowieka.

Ciągle badam nieznaną zarazkę. Są niesforne. Uciekają z pola widzenia. Namyślałam się, czy wypróbować ich działanie na królikach. Może jednak lepiej nie robić tego?

Szpital nie jest instytutem doświadczalnym.



Stało się!

Czynię niesłuchany wysiłek woli, żeby coś napisać. W mózgu mam chaos. Przyszła kolej na ogniową próbę moich nerwów i woli.

Stało się!

Dwa wypadki. Jeden po drugim, z jakąż przerażającą szybkością.

Jestem oślepiiony błyskawicą, porażony grzmotem.

Nasz woźnica zmarł. Choroba nierozpoznana.

Zginęła jedna próbówka. Właśnie ta „afrykańska”!

Jeśli to prawda, że można nią zgładzić, strach mnie przejmuje, kilka tysięcy... Kiedy zginęła próbówka?

Przed tygodniem sprzedaliśmy nasze stare, bezużyteczne flaszki i różne szklane rupiecie. Na pewno wtedy, przez pomyłkę...

Co teraz?

Nieznane bakterie – nieznana choroba!

Chcę się łądzić, że jedno z drugim nie pozostaje w żadnym związku. A jednak...

Probówka zginęła przed chorobą Jana.

Chodzę w nocy po alejach parku i bezmyślnie powtarzam: Probówka zginęła przed chorobą Jana, przed chorobą...

Jakie środki ratunku? Gdzie lekarstwo?

Każdego dnia oczekuję nowej choroby. Każdego ranka ze strachem wchodzę do sali jadalnej.

Bogu dzięki! Są wszyscy.

Kiedy budzę się w nocy, zdaje mi się, że słyszę daleki skrzyp bryczki, że wiozą kogoś do szpitala zwałonego nagłą zarazą. A najwięcej męczy mnie to, że nikt nie przeczuwa.

Ile razy chciałem wyjawić, w ostatniej chwili nadzieja wstępuje do serca. A może mnie się tylko tak zdaje?

Przedłużyłem wieczorne posiedzenia.

Och, wynaleźć antidotum, serum zbawienne, deskę ratunku...

Zresztą, cokolwiek się stanie: stalowe nerwy, zimna krew; trzeba być zawsze gotowym i czujnym.

Spokój i cisza. Oby nie była ciszą przed burzą.

Królik zdechł po dwunastu godzinach. Zastrzyknąłem surowicę następnemu. Zdechł także. Wszystkie nieszczęścia walą się na moją głowę!

Doktor Nowicki wyjeżdża na urlop. Tego jeszcze brakowało. Kapitan opuszcza okręt na minutę przed nawałnicą!

Co będzie z załogą?

Ja milczę jak skała, przecież mogę się mylić!

Jest nowy chory.

Przecieram oczy i przyglądam się temu, co napisałem. Nie chcę

wierzyć rzeczywistości. A jednak, jest nowy chory... Z miasta. Objawy takie same, jak u Jana. Umrze. Nabrałem jakiegoś dziwnego spokoju. Mam pewność. Ale co dalej?

Nowicki zaniepokojony. Dręczy go nierozpoznanie. Sekcja zwłok nic nie wykryła. Jesteśmy w mroku. Skąd przyjdzie światło?

Ciągle noszę w sobie natrętną myśl: powiedzieć, powiedzieć...



Dwa tygodnie pióra nie miałem w ręku.

Piekło panuje na ziemi. Wieczorami widzę jasne gwiazdy strażniczych ogni. Od czasu do czasu sunie ostre i błyszczące, jak stalowy nóż, światło reflektora.

Jesteśmy odcięci od świata podwójnym kordonem wojska i straży sanitarnych.

Zaraza w mieście. Nie ma czego ukrywać. Wielka komisja lekarska rządzi w Olkiennikach. Wszystko przewrócone do góry nogami.

W słoneczne dni błyszczą barwne czworokąty czerwonych krzyży w większości domów. Szpital przepełniony i ludzie mrą stale.

Każdy się spodziewa, że jutro, że może już jutro on sam... Ale o tym się nie mówi. Moje nerwy stępiały zupełnie. Poruszam się jak automat, niewrażliwy i obojętny na wszystko, co się dokoła dzieje.

Długie korowody wozów kłękających żółtymi, nieheblowanymi trumnami, gryzący zapach karbolu i ciche, śpieszne szeptanie na korytarzach szpitala.

Chodzimy stale w białych fartuchach, jak duchy. Rozciągamy naszą ostrożność do granic niemożliwości. Nic nie pomaga.

Chyba skazani jesteśmy na zagładę, na wymieranie powolne i systematyczne. A wszystko zaczęło się w dzień wyjazdu doktora Nowickiego.

O dwunastej w południe odchodził pociąg. O jedenastej

przetransportowano dwóch chorych z objawami zarazy.

Doktor Nowicki zrezygnował z urlopu.

Nazajutrz mieliśmy znowu o jednego chorego więcej. Potem już co dzień ktoś przybywał.

Teraz nic nie powiem. Cóż pomoże samooskarżenie!

Nie ustaję w moich doświadczeniach z bakteriami. Mogę nawet powiedzieć, że mam wygodę. Sypiam w pracowni. Mój pokój oddany dla chorych.

Siedzę nad mikroskopem i myślę, że może właśnie w tej chwili ktoś umiera, tam na górze albo w bocznym skrzydle, albo w prowizorycznym szpitalu miasta, w ratuszu.

Już jest chorych dwóch lekarzy.

Wczoraj miałem dyżur i okropną noc. Nasz stróż-mechanik omdlał przy motorze.

Zgasło światło na salach i w całym budynku, a właśnie przywieziono kilka osób. Sam temu nie wierzę, ale puściłem motor w ruch.

Boję się, że zabraknie królików, a sprowadzać nowe w takiej chwili... Wydzielają nam teraz porcjeienne... Z żywnością krucho. Kto wie, czy za kilka dni widmo głodu nie zajrzy nam w oczy?

A ja marnuję króliki na bezowocne doświadczenia. Jeżeli tak dalej będzie, zabronią mi badań.

W spokojny dzień słyhać dzwon dalekiego kościoła. Pogrzeb. Jeszcze jeden i jeszcze...

Umarłych grzebie się nocami. Już potajemnie wynosi się zimne ciała z sal szpitalnych. Byle tylko zachować tę resztę odwagi upadającej z dnia na dzień wśród miejscowej ludności.

Grozi nam niebezpieczeństwo i z innej strony.

Najgorsze, dotychczas w ciemnościach żerujące postacie wyszły na światłoienne. Wczoraj obrabowano dwa sklepy w mieście.

Koło naszych magazynów wciąż kręcą się podejrzane postacie.

Anarchia postępuje śladami zarazy!

A kto temu winien? Kto winien?

Nie chcę myśleć... Ciągle nie tracę nadziei. Może się uda, dziś, jutro... Wyjdę z flaszką zbawiennej surowicy.

Noc próby. Jak ją przetrzyma mój królik? Jeden z ostatnich...



W dusznych i ciemnych oparach zarazy poczyna mi błyskać światło. Niepewne i blade, ale świeci. Oby nie zgasło.

Królik żyje.

Żyje dwa dni. Surowica gotowa. Ostra, stalowa igła, gotowana we wrzącym ukropie. Za chwilę dokonam pierwszego zastrzyku. Zdecyduje się na koniec: klęska ostateczna albo zwycięstwo!



Teraz pozostaje tylko czekać.

Czekać przez parną noc. Zanoszą się na burzę. Trójkąt błyskawicy przerznął skłębione chmury. Jest duszno.

Co pół godziny biegnę do sali, gdzie spoczywa chory, mój chory. Nic, żadnego polepszenia. Ciągle nieprzytomny, ciągle majaczy.

Oto czego dokonała moja próbówka, jedna, zgubiona próbówka.

Jeśli się nie uda – powiem wszystko.

Będę krzyczał wielkim głosem, kto jest mordercą. Jeśli się nie uda...

Pod ręką czuję zimny chłód rewolweru. Patrę bezmyślnym wzrokiem na sekundnik zegarka. Deszcz rozpadał się na dobre i wisi kotarą drżących kropel za szybami. Szarość świtu powoli wciska się na pokój. Ktoś chodzi po korytarzu...

Choremu nic nie lepiej!

A więc nie pomogło. Zdecydowałem się. Za kilka chwil wyjdę stąd

i powiem wszystko, a potem...

Stalowy cyngiel drażni palce.

Trzeba wstać z fotela. Fotel trzyma mnie mocno, nie chce puścić.
Jeszcze przejrzę swoje papiery. Odsuwam szufladę...

Głośne szmery na korytarzu. Spieszny tupot nóg. Z trzaskiem otwierają się białe lakierowane drzwi.

– Doktorze!

– Co się stało?

– Poprawa! Poprawa!...

Biały fartuch sanitariusza marszczy się w długie fałdy.

– Nieprawda!

Z ust moich wychodzą jakieś obce, nieznane dźwięki.

– Poprawa! – krzyczy postać od lakierowanych drzwi.

Nie mogę podnieść się. Ręce biegają bezładnie po ciemnej ceracie.
Czuję wilgoć w oczach, która jasnymi kroplami spływa na płaszczyznę stołu...



Już od roku pracuję w Centralnym Instytucie Bakteriologicznym.

Ale zanim to się stało, jakżeż okropne trzeba było przeżyć chwile!
Ja wynalazłem serum! Serum doktora Kolca!

Gdybym je miał przedtem, gdyby nie zginęła przeklęta próbówka,
nie byłoby olkiennickiej tragedii.

Któż mógł przypuszczać, że tak straszne skutki wywoła dwadzieścia
kropel przezroczystego płynu.

Mikroby śmierci!

Jeżeli kiedyś dojdzie do wojny... Strach pomyśleć!

Wojna chemiczna jest niczym w porównaniu z wojną bakteryjną.

Otaczamy tajemnicą tę całą sprawę.

Gmach Centralnego Instytutu Bakteriologicznego jest prawdziwą

twierdzą. Do wnętrza mogą się dostać tylko ludzie zaufani.



Alicja Wedwood!

Alicja!

Powtarzam to imię, wykrzykuję je w myśli i widzę jej czoło, oczy i usta.

Alicja Wedwood.

Moje serce bije tak mocno. Moja krew szybciej krąży w żyłach.

Czymże są wynalazki całego świata, czym odkrycia, wobec starego, jak ziemia, a zawsze nowego wynalazku, jakim jest miłość!

Alicja Wedwood – obywatelka zimnego Albionu. Alicja Wedwood o oczach czarnych, płonących wiecznym ogniem, który mógłby chyba stopić najtwardszą stal.

Poznałem ją na Międzynarodowym Kongresie Medycyny Społecznej. Zupełnie przypadkowo. Przypadek kieruje krokami mego życia.

Alicja Wedwood jest przedstawicielką jednej z londyńskich wytwórni chemicznych. Przybyła tutaj, aby się rozejrzeć w możliwościach naszego rynku...



Alicja odjeżdża do Anglii.

Wszystko blednie wobec tego faktu. Mówiła mi, że powróci, że pewno zostanie tu nawet na stałe, a wtedy...



Wysyłamy do Helsingforsu nasze „afrykańskie” mikroby.

Bakterie „F”. Tak je nazwaliśmy.

Finlandzki Zakład Chemii i Przyrody ma otrzymać część naszych kultur.

Dlaczego?

Zapewne dla przeprowadzenia dalszych badań. Do tej pory nie wysyłaliśmy jeszcze nigdzie śmierniczośnych probówek, dlatego cała ta wysyłka jest przeprowadzana w najgłębszej tajemnicy. Takie otrzymaliśmy zalecenia...



Stalowa skrzynka wyruszy do Helsingforsu na pokładzie parowca „Robot”. Kapitan...

Alicja wyjechała...

X.

Co pięć minut nad metalowym koliskiem wytryskał gorący obłok pary. Syrena „Robota” zastępowała chwilowo oczy. Dawała znać o statku innym okrętom, ostrzegała je przed katastrofalną możliwością spotkania się na pełnym morzu.

Porucznik Norden miał już uszy pełne przeraźliwego gwizdu i od czasu do czasu wygrażał pięścią kłębiącym się warstwom mgły.

W przerwie między dwoma sygnałami parowej gwizdawki dochodziły doń z dołu urywane fragmenty czyjejs rozmowy. Zupełnie wyraźnie rozróżniał dźwięk głosu kapitana Borkowicza.

Zadudniły głucho drewniane schodki, biała czapka z granatowym otokiem wynurzyła się z oparów mgły.

- Panie poruczniku!
- Jestem kapitanie.

– Jak tam idzie?

– Wszystko w porządku, panie kapitanie, trzymamy się kursu.

– Widać co stąd?

Norden wymownym ruchem wyciągnął rękę przed siebie. Borkowicz spojrział. Dziób okrętu rysował się niewyraźnie, jak gdyby omotany pajęczyną, dwa metry dalej pajęczyna gęstniała, stawała się nieprzenikliwą, ścisłą, zbitą masą.

– Z czymś podobnym już dawno się nie spotkałem.

– Wlecemy się, panie kapitanie, jak dziady za pogrzebem.

Borkowicz uśmiechnął się lekko.

– Nic się na to nie poradzi.

Norden przygryzł wargi. Intrygowała go sprawa tej kobiety, o której wspomniał Orcel, ale brakło mu odwagi zapytać się. Z niecierpliwością oczekiwał końca wachty, ale wachta dłużyła się w sposób obrzydliwy, a mgła doprowadzała go do rozpacz.

Sądził przez chwilę, że kapitan sam napomknie coś niecoś o nieproszonej pasażerke. Omylił się. Borkowicz stanął tuż przy bocznym oknie sterniczej kabiny i wpatrzył się w mgłę.

Norden poszedł za jego przykładem. Nienawistny wzrok utkwiał w białej przestrzeni.

A tymczasem na deskach górnego pokładu Alicja Wedwood i Stempkowski obserwowali przesuające się przed ich oczyma pierzaste obłoki.

Długie nitki unosiły się nad pokładem, przepływały nad nim. Bardziej zwarte, to znowu bardziej przejrzyste smugi nadciągały od strony kapitańskiej wyżki, rozbiły się o nadbudówki obydwu pokładów i lekkie, bezkształtne, nieuchwytnie ginęły za rufą.

Całe tony mgły przewalały się z jednej na drugą burtę.

W górze wisiała brudna chmura dymu pomieszanego z parą wodną.

Wszystko nabierało siwoniebieskiej barwy, zatracalo się w szczegółach i konturach. Czarny komin wyglądał jak otulony watą, ściekały po nim strugi wilgoci.

– To jest jednak ładne – odezwała się Angielka.

Jej głos brzmiał spokojnie, ale kiedy wyjmowała papierosa z portcygaru dziennikarza, ręka zadrżała jej lekko. Nie uszło to uwagi Stempkowskiego.

– Więc jest pani zadowolona z pogody? – zapytał, szcękając zapalniczką.

– Nie – potrząsnęła energicznie głową. – Wcale nie jestem zadowolona.

Tym razem Stempkowski w jakimś dziwnym natchnieniu odczuł, że jego towarzyszka mówi szczerze.

– Wilgoć...

– Nie o to chodzi, ale teraz będę musiała jechać do Helsingforsu. Trzeba się pożegnać z nadzieją złapania jakiegoś innego okrętu.

– Uważam to za bardzo pomyślny horoskop dla siebie.

– Dlaczego?

– Będę miał szczęście oglądać panią nieco dłużej.

– Szczęście – lekki odcień goryczy zabrzmiał w jej głosie. – Cóż panu z tego przyjdzie?

– Czyż tylko rzeczy materialne są coś warte? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Prawda, ale... – popatrzyła mu prosto w oczy roześmianym wzrokiem – ...przecież pan żartuje...

– Ani mi się śni żartować.

– Pan jest bajeczny!

– Z kolei i ja doczekałem się komplementów.

Lekki rumieniec przemknął po twarzy Alicji Wedwood. Odwróciła głowę.

– Niemożliwy z pana człowiek.

Znowu zahuczała syrena.

– A teraz to już nie wiem, czy to komplement czy nagana?

– Jedno i drugie. Jest pan zbyt pewny siebie.

– Ja? Nie sądzę, zbyt wiele rozczarowań doznałem w życiu. Jednego tylko jestem pewien, że panią jeszcze kiedyś zobaczę.

– Nigdy! – wypowiedziała to słowo głośno, prawie wykrzyknęła.

Zmarszczka pojawiła się na czole dziennikarza.

– Nie zasłużyłem na tak mocne powiedzenie.

– Przepraszam pana. To wyrwało mi się zupełnie mimo woli. Niech się pan nie domyśla nawet dlaczego, bo pan nie odgadnie.

– Widać moja osoba tak odpychająco...

– Och, nie! Nic podobnego, ręcę panu słowem. Ale gdybyśmy mieli się kiedy jeszcze spotkać, znalazłabym się w bardzo wielkim kłopotcie, a może...

– Niech pani dokończy.

– A może i pan?

Stempkowski popatrzył na mgłę.

– Tajemnica? – powiedział półgłosem.

– Niech się pan nie pyta.

– Myślę – odezwał się po chwili milczenia – że nie należy używać słowa „nigdy”. Nie istnieją niemożliwości. Dzisiaj pani sama to stwierdziła. Przypadek, zbieg okoliczności, a może nawet... przeznaczenie często przekreślają słowo „nigdy”. NIEWIADOME nie uznaje „nigdy”.

– To prawda. Więc powiem panu tylko tyle, że będę starała się nie spotkać go już więcej.

– Okrutna szczerłość.

– Przesada.

– Skąd pani może wiedzieć!

– Zapomni pan o mnie... chociaż – zaśmiała się nerwowo – pewnie nie tak prędko.

– Przyznaje mi pani rację.

– Ale pan nie wie dlaczego.

– Chciałbym wiedzieć.

– Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

– Co ma oznaczać, że będę wiedział.

– Tak. Jest pan zadowolony?

– W połowie.

– Niech mi pan wierzy, że nie kieruję się żadną niechęcią w stosunku do osoby pana, może nawet wprost przeciwnie.

– A jednak wszystko, co pani mówi...

– Muszę to mówić. Taka jest konieczność.

– Konieczność? Jest pani pełna tajemnic.

– Czyż to jest wada? Tajemnicze kobiety są bardziej pożądane. – Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach.

– Tajemnica pociąga, ale później męczy. Nie można stale błędzić w mroku, zabawa w chowanego jest ciekawa tylko do czasu.

– Słusznie.

– Nagłe odkrycie prawdy, zerwanie wszystkich zasłon jest stokroć bardziej pociągające od wiecznej tajemnicy. Zwłaszcza jeżeli to się dzieje między mężczyzną i kobietą, bo wtedy odkrycie tajemnicy jest jak gdyby błyskawicznym zrzućciem z niej wszystkich sukien, a jeśli ta kobieta jest piękna, to cóż może być piękniejszego? Oto dlaczego tak zawsze dążymy do poznania tajemnicy cudzych serc.

– Niebezpieczne porównanie – szepnęła, odwracając głowę – Jak pan dziwnie rozumuje.

– Myślę, że zupełnie życiowo.

Gęsty obłok zasnuł pokład transportowca. Stempkowski nie widział nic poza długość wyciągniętej ręki.

Borkowicz tkwiący na kapitańskim mostku kazał jeszcze bardziej zwolnić biegu. Norden ze zgryźliwym uśmiechem na ustach przesłał wewnętrznym telegrafem polecenie do oddziału maszyn.

– Dobrze by było zamienić się teraz w łódź podwodną panie kapitanie.

Borkowicz pokiwał w milczeniu głową.

XI.

Przy obiedzie zapalono światła w jadalni. Borkowicz siedział nad talerzem posępny i ciemny, jak noc. Porucznik Orcel spod oka obserwował Angielkę, ale, że nie władał językiem angielskim, z konieczności milczał.

Ciężki obowiązek podtrzymywania rozmowy spadł na barki Stempkowskiego. Wywiązywał się z niego, jak umiał.

Dziennikarz już od samego rana nosił w sobie przecucie czegoś niespodziewanego. Coś nieodgadnionego zamieszkało na pokładach „Robota”. Może to było właśnie to NIEWIADOME, o którym mówiła Alicja Wedwood? Miraż DALEKIEJ PRZYGODY lada chwila mógł się stać rzeczywistością. Stempkowski czuł to dobrze. Niestłuchane, nieprawdopodobne napięcie nerwów wzrastało w nim prawie z każdą sekundą. Siłą woli utrzymywał się w granicach pozornego spokoju. Widział dobrze, że i Angielka podlega tym samym wewnętrznym wzruszeniom.

Czyżby również przeczuwała?

A może WIEDZIAŁA!

Co?!

Podtrzymywanie banalnej rozmowy w takich warunkach nie należało do przyjemności. Stempkowski zamilkłby z prawdziwą

rozkoszą, ale stokroć bardziej bał się tej ciszy, która wówczas zapanowała przy stole.

Mówił więc cokolwiek mu tylko na język przyszło. Mówił, nie słysząc czasami odpowiedzi, pogrążony myślami w rozwikływaniu tajemnicy NIEWIADOMEGO, które lada chwila mogło odkryć swe oblicze. Które lada chwila musiało odkryć swe oblicze. Stempkowski wiedział z własnych doświadczeń, że przecucia prawie nigdy go nie zawodziły. Nie omylą go i teraz. Był tego pewien.

Ale dlaczego Borkowicz tak posępnie tkwi nad białym krążkiem porcelanowego talerza?

Czy tylko z powodu mgły?

Czy może raz jeszcze zastanawia się nad sprawą Stanisławskiego?

A może i on coś czuje, tylko nie chce albo nie umie tego wytłumaczyć?

Co pięć minut przytłumiony głos syreny wpadał poprzez zamknięte drzwi kabiny. „Robot” przebijał się poprzez morze mgły i dawał znać o swym istnieniu. Na szczęście zerwał się lekki wiatr i porucznik Norden poczynił bardziej różowo na świat spoglądać. Wiatr rozwieje mgłę.

Dokoła okrągłego stołu chłopak w milczeniu obnosił półmiski. Kiedy zniknął w korytarzu, znowu głos syreny zmałował ciszę. Borkowicz podniósł głowę i nadśluchiwał przez kilka sekund.

– Będziemy się mijać – powiedział, po raz pierwszy wypadając z zadumy. Powiedział to po polsku, więc Stempkowski pośpiesznie przetłumaczył zdanie Alicji Wedwood.

Angielka drgnęła niespokojnie.

Trzymana w jej ręku łyżeczka z brzękiem upadła na podłogę. Dziennikarz schylił się i ją podniósł.

– Dziękuję panu – powiedziała z lekkim drzeniem w głosie.

Dźwięk dalekiej syreny znowu otarł się o ich uszy. Teraz już

i Stempkowski poznał, że nie była to syrena „Robota”. Miała głos grubszy i huczała przeciągle.

Od tej chwili rozpoczęła się cała seria nawoływań dwu statków. Dwie gwizdawki wydobywały z siebie całą kakofonię dźwięków. W pewnym momencie wszystko umilkło.

Borkowicz popatrzył zdziwionym wzrokiem na Orcela.

– Stoimy – odezwał się półgłosem.

– Stoimy, kapitanie.

Tylko oni dwaj spostrzegli się już, że statek zatrzymano. Stempkowski nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy.

Borkowicz zerwał się szybko z krzesła.

– Musiało się coś stać – powiedział niespokojnym głosem.

– Cóż takiego może być? – zaciekał się dziennikarz.

– Muszę sprawdzić. – Widząc, że Orcel chce iść w jego ślady, dodał pośpiesznie – niech pan zostanie, poruczniku, myślę, że to nic ważnego.

Wzrok Angielki pytająco spoczął na twarzy Stempkowskiego.

– Zatrzymaliśmy się, proszę pani – objaśnił dziennikarz.

– Wcale tego nie zauważyłam.

– Ja również nie zauważyłem, ale kapitan już to spostrzegł.

Marynarze widać mają jakiś oddzielny zmysł, którego my, szczury lądowe, jesteśmy pozbawieni.

– Dlaczego stoimy?

– Pewnie z powodu tego drugiego statku. Może chcą czegoś od nas.

– Bardzo jestem ciekawa. Nie można zobaczyć?

– Wyjdziemy chyba, panie poruczniku – zwrócił się dziennikarz do Orcela.

Oficer skinął potakująco głową.

– Chodźmy – powiedział, odsuwając krzesło.

Wstali od stołu.

Stempkowski przepuścił przed sobą Angielkę, a kiedy minęła wysoki próg oddzielający kabinę jadalną od korytarza, wyszedł za nią.

Napięcie jego nerwów doszło chyba do szczytu. NIEWIADOME wydawało się coraz bliższym. Pewnie już tylko sekundy dzieliły go od NIEZNANEGO. Zacisnął zęby, żeby się nie zdradzić.

Rzucił ciekawym okiem na twarz Alicji Wedwood i postanowił mieć się na baczności.

Miała zacięte mocno usta. Rysy jej twarzy jakoś dziwnie stężały, znieruchomiały, jak gdyby pod wpływem nagle powziętej decyzji.

Kiedy znaleźli się w prostokącie wyjścia, dziennikarz odetchnął głęboko i skupił się w sobie.

– Teraz się okaże – pomyślał. – Jeżeli się mylę, pójdę do psychiatry, żeby mnie zbadał.

XII.

Borkowicz niezbyt dobrze się orientował, o co chodzi przybyszom.

Zrzucono im drabinkę sznurową i trzech tęgich mężczyzn wdrapało się na pokład.

Kapitan Borkowicz słabo władał niemieckim językiem i to w dużej mierze utrudniało porozumienie się.

Norden zeszedł z wyżki i stanął tuż przy Borkowiczu.

Orcel zatrzymał się o dwa kroki dalej.

Jeszcze dalej stał dziennikarz razem z Alicją Wedwood. Przyjrzał się dokładnie przybyszom, a potem przeniósł wzrok na mgłę wiszącą w powietrzu. Na jej tle rysowała się w dali niewyraźna, zamazana masa, nad którą wisiał czarny obłok.

– Chcemy, panie kapitanie – odezwał się najniższy z obcych – żeby

pan nam wydał pewną metalową skrzynkę znajdującą się pod pańską opieką.

Borkowicz zamrugnął powiekami.

– Nie rozumiem panów – powiedział sucho.

Stempkowski wytężył słuch.

– Proszę wydać nam kultury bakterii „F”.

– Kultury bakterii „F”? – powtórzył kapitan, błędąc lekko.

– Tak. Ma pan je na statku.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie poproszę o klucze od kasy.

– Co to ma znaczyć? – Słowa zazgrzytały w ustach Borkowicza, jak szkło.

– Nic więcej ponad to, co panu już zakomunikowałem. Żądam wydania kultur bakterii „F”. Proszę o klucze od kasy, czas ucieka.

– Kim pan jest?

– Tego panu nie powiem. Powtarzam po raz ostatni, że żądam wydania kultur bakterii „F”.

– Odpowiem panu na to krótko, że pan się myli.

– Jak to?

– To jest zwykłe korsarstwo. – Głos kapitana Borkowicza zabrzmiał twardo. – Pan zapomina o tym, że nie znajdujemy się na morzach południowych i że nawet tam czasy Bully Hayesa należą już do przeszłości. Ze swego żądania wytłumaczają się panowie policji finlandzkiej. – Kapitan odwrócił głowę: – Norden, pełną parą naprzód!

– Za pozwoleniem!

W rękach cudzoziemców błysnęły rewolwery. Wydobyli je prawie jednocześnie, jak na komendę.

Stempkowski, który obserwował tę całą scenę, natężył mięśnie, jak do skoku.

– Zechce pan pozostać na miejscu – usłyszał melodyjny głos.
Odwrocił głowę.

Alicja Wedwood stała tuż przed nim. Dłoń jej ręki zaciskała się na kolbie małego, lśniącego bębenkowca. Jak i kiedy go wyjęła, tego dziennikarz nie zauważył. Spojrzał jej prosto w oczy.–Cóż pani chce zrobić! – zapytał półgłosem.

– Nic, zupełnie nic, o ile pozostanie pan na miejscu. Pragnął pan przygody, oto ona.

– A jeżeli się ruszę?

– Strzele.

– Nie wierzę.

– Radzę nie próbować. Niech mnie pan nie zmusza do pociągnięcia za cyngiel.

Powiedziała to głosem tak spokojnym i opanowanym, że Stempkowski ani na chwilę nie zwątpił o prawdzie jej słów.

– Nie byłby to pierwszy wypadek – zauważył ironicznie.

– Nie rozumiem pana.

– Czyżby już pani zapomniała o Stanisławskim?

Dziennikarz nie oczekiwał zbyt wielkiego efektu po swych słowach, tym razem jednak się omylił.

W jednej sekundzie, w jednym mgnieniu oka twarz Alicji Wedwood zrobiła się blada jak papier, bledsza od mgły, która ich otaczała. Jej usta poczęły drżeć nerwowo.

– Pan wie..., pan wie...

– Czy teraz wyda pan klucze? – zabrzmiało głośnie pytanie skierowane do Borkowicza.

– Nie – odparł spokojnie kapitan. – Nie wydam.

– ...skąd pan wie?...

Głos Alicji Wedwood zniżył się do szeptu.

– ...a jeśli pan wie... to przecież... on sam się zastrzelił... o Boże...

Nie panowała już zupełnie nad nerwami. Ręka trzymająca rewolwer trzęsła się i okrągły otwór lufy raz po raz zbaczał z linii, na której znajdował się dziennikarz.

– Czemuż pani nie strzela? – zapytał smutno.

– Nie... nie... – odparła półgłosem. – Nie mogę...

Lufa rewolweru znowu skręciła gdzieś w bok. Stempkowski wykonał trzy szybkie kroki. Jeden gwałtowny ruch i błyszczący bębenkowiec zmienił właściciela.

Dziennikarz porwał wpół Angielkę i pchnął ją między kapitana a stojących przed nim cudzoziemców.

Zakotłowało się.

Porucznik Orcel skoczył przed siebie, jak strzała wypuszczona z napiętej cięciwy łuku. Podniesiona pięść opadła z rozmachem i najniższy z trzech przeciwników zniknął raptownie w gęstej mgle rozpiętej za burtą.

– Norden! Do steru! – huknął Borkowicz.

Dwa płomienie rozdarły biały welon otulający pokłady.

W odpowiedzi na to Stempkowski trzykrotnie pociągnął za cyngiel niklowej zabawki. Nie mierzył, strzelał na oślep.

Z maszynowej luki wyjrzała głowa palacza.

Znowu zagrzmiały strzały.

Z otworu wiodącego do kajut wybiegł jakiś obcy człowiek. Wpadł z boku na dziennikarza. Runęli na pokładowe deski. Rewolwer wyprysnął z zaciśniętej dłoni i potoczył się aż pod przeciwległą burtę, znikł we mgle.

W tej samej chwili z wyżyn kapitańskiego mostku zaterkotała krótka salwa, za nią druga i trzecia.

Norden jakimś cudem zdobył broń.

Borkowicz i Orcel odskoczyli ku lewej burcie.

Kule biły wprost w prawą część pokładu.

Statek drgnął... Śruba na nowo zaczęła młócić brudnozieloną toń morza. „Robot” począł sobie torować drogę wśród białych tumanów mgieł.

Głowy napastników zniknęły. Ostatni wycofał się niespodziewany napastnik Stempkowskiego.

Kiedy podbiegli do burty, dostrzegli tylko zamazany kontur szybko oddalającego się czółna.

– Panie Orceł, zostanie pan na pokładzie. Ja idę do aparatu.

Borkowicz zniknął w korytarzu. Stempkowski podążył za nim, trąc mocno obolałą rękę. Drzwi od kabiny telegraficznej były zamknięte od zewnątrz. Otworzyli je z łatwością.

Poblady i wystraszony telegrafista aż podskoczył na ich widok.

– Co tu z panem było, panie Wiórek?

– Wleciał tu, panie kapitanie, jakiś drab, złapał za stołek i gruchnął w aparat.

Stempkowski odwrócił głowę, żeby ukryć śmiech. Borkowicz przygryzł wargi.

– I pan się tak spokojnie przyglądał temu?

– Nie, panie kapitanie, tylko myślałem z początku, że to jakiś wariat. Złapałem go za rękę, ale to silny chłop. Wyrwał mi się i skoczył do drzwi. Ja za nim. Wyprzedził mnie o jakieś pół sekundy i zamknął. Chciałem wywalić drzwi...

– Mógłbym przysiąc, że było ich trzech tylko – przerwał mu Borkowicz.

– Ja również – dodał Stempkowski.

– Trzeba się zapytać Nordena, on był od początku. Panie Wiórek – zwrócił się Borkowicz do telegrafisty – będzie jeszcze co z tego?

Wiórek wymownym gestem wskazał na walające się po podłodze szczątki.

– Nie da rady – powiedział z komiczną intonacją w głosie. – Z tego

aparatu już żadnej depeszy się nie nada.

Borkowicz zaklął półgłosem.

– To paskudnie.

– I tak mamy szczęście.

– Szczęście – wybuchnął kapitan. – Napad korsarski w XX wieku! Na Bałtyku! Prawie na granicy terytorialnych wód fińskich! Coś niesłychanego...

Wyszli na korytarz.

– Słuchaj – szepnął dziennikarz. – Co to są bakterie „F”?

– To naprawdę dziwna sprawa. Poproś do mnie Orcela i Nordena, pomówimy o tym.

Kiedy się znaleźli we czwórce w kapitańskiej kabinie, Stempkowski mimo woli cofnął się ku drzwiom.

Borkowski zauważył ten ruch.

– Zostań – powiedział. – Byłeś świadkiem napadu, musisz wiedzieć wszystko. Proszę panów – zwrócił się do swych podwładnych. – Muszę panów poinformować, że oprócz ryżu wieziemy jeszcze inny ładunek. Ładunek niewielki, małą ze stalowej blachy zrobioną skrzynkę. Mam ją zamkniętą w kasie pancerniej. Skrzynka ta została wręczona mi przed samym odjazdem, ona jest właśnie przyczyną naszego dwugodzinnego opóźnienia, a także przyczyną tego napadu. Kto mi ją wręczył – to nie należy do sprawy, nie jestem zresztą upoważniony do mówienia o tym. Jeżeli wspominał o tym dodatkowym ładunku – lekki uśmiech przemknął po twarzy Borkowicza – to tylko dlatego, aby zobowiązać panów do milczenia na wypadek śledztwa, a takie przeprowadzone na pewno będzie.

– Czy mamy nie mówić o napadzie?

– Tylko o skrzynce. Napad mógł być zorganizowany równie dobrze celem zabrania pieniędzy znajdujących się w naszej kasie.

– Słusznie.

– A teraz druga sprawa. Czy panowie nie zauważyli nic charakterystycznego u napastników?

– Nie poznałbym ich statku – odezwał się Orcel – we mgle wszystkie okręty wyglądają jednakowo.

Norden pokiwał głową.

– To nie byli Niemcy – powiedział spokojnie.

Stempkowski aż podniósł się z krzesła.

– Co pan mówi?

– Głowę dam sobie uciąć, że to nie byli Niemcy.

– Skąd ta pewność?

– Znam dobrze ich język. Trzy lata spędziłem w Hamburgu, znam dialekt berliński i gwarę południa. Nie, panie kapitanie, to nie byli Niemcy.

– A gdzie się podziała ta nasza Angielka? – wykrzyknął nagle Stempkowski.

Spojrzeni po sobie zdziwionym wzrokiem. W zamieszaniu zapomnieli zupełnie o tajemniczej pasażerce.

– Alicja Wedwood władała językiem niemieckim – powiedział znacząco kapitan. – Przypuszczam, że odjechała razem z tamtymi. Rzecz nie do darowania, żeśmy ją tak puścili.

– Służba śledcza będzie sobie suszyć głowy nad tą sprawą. Do licha, historia jest niezwykle ciekawa.

– Czy dowiemy się kiedy prawdy? – Stempkowski podniósł się z krzesła i podszedł do okrągłego otworu iluminatora. Nie zdradziłby się z tym przed nikim, ale w głębi duszy był zadowolony z ucieczki Alicji Wedwood.

XIII.

Poszła w świat zdumiewająca wieść. NAPAD KORSARSKI NA BAŁTYKU! Rozdzwoniły się druty telegrafów, stacje iskrowe wysyłały szyfrowe depesze, rysopis Alicji Wedwood obiegnął centrale policyjne połowy świata.

Natychmiast po zawinięciu „Robota” do portu w Helsingforsie dwa torpedowce fińskie „Nystad” i „Vasa” wyszły na pełne morze w poszukiwaniu tajemniczych napastników. Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów.

„Robot” już dawno powrócił do Gdyni, a śledztwo nie posunęło się ani o krok naprzód.

Aresztowano Hansa Lubitscha, kapitana statku „Wiking”. Hans Lubitsch wypierał się wszystkiego. Drobiazgowo śledztwo wykazało, że Lubitsch nie miał żadnego brata i nie utrzymywał żadnych stosunków z Anglikami.

Przesłuchano doktora Władysława Kolca. Doktor stwierdził, że Alicja Wedwood podawała się za przedstawicielkę firmy „Pitt and Son” w Londynie. Firma „Pitt and Son” zaprzeczyła kategorycznie, jakoby wysyłała swą przedstawicielkę do Polski. Alicja Wedwood nigdy nie była jej pracowniczką.

Zwrócono się do zakładów przemysłowych „Vickersa”. Otrzymano tę samą odpowiedź.

Nadkomisarz Hnyć, który kierował śledztwem, gubił się w powodzi poszlak i niesprawdzonych domysłów.

Poselstwo angielskie nic nie wiedziało o Alicji Wedwood. Twierdziło, że paszport musiał być sfałszowany.

Stempkowski interesował się żywo przebiegiem poszukiwań. Z nadkomisarzem Hnyciem rozmawiał na ten temat bardzo często, bo jako jeden z główniejszych świadków miał do niego otwarty dostęp. Razem jeździli do Gdyni i do Helsingforsu.

Wszystko nadaremnie.

Kim była Alicja Wedwood?

Może nie istniała nigdy?

Jak brzmiało jej prawdziwe nazwisko?

Tak minął rok. Cała sprawa ucichła, pogrążyła się w niepamięci ludzkiej. Zdziwił się więc bardzo Stempkowski, kiedy go Hnyć wezwał do siebie.

– To na zakończenie śledztwa, panie redaktorze – przywitał go żartobliwie.

– Niejako dla spokoju mego sumienia, bo przecież zrobiliśmy wszystko, co leży w ludzkiej mocy...

– I nic?

– I nic. W tym właśnie leży cała rzecz. Rozumie mnie pan?

– Niezupełnie.

– Więc powiem panu, ale tak zupełnie prywatnie, nie wyobrażam sobie, aby bez czyjejs wydatnej pomocy ta kobieta mogła tak nagle zniknąć z horyzontu.

Serce zabiło mocno Stempkowskiemu.

– Czy przypuszcza pan, że...? – słowa zamarły mu na ustach.

Hnyć spojrzał mu prosto w oczy.

– ...że ją zabito – dokończył za dziennikarzem.

– Tak.

– Zastanawiałem się nad tym niejednokrotnie. To nie jest dla mnie pewnikiem. Przypuszczam natomiast coś innego...

– Można wiedzieć?

– Właśnie chcę z panem porozmawiać na ten temat. Traktujmy jednak tę sprawę czysto prywatnie. Oficjalne śledztwo zostało zakończone i nie dało wyników.

– Słucham pana.

– Co pan sądzi o Alicji Wedwood? Czy pan ją uważał za bardzo inteligentną osobę?

– W stopniu nadzwyczajnym.

Hnyć pokiwał znacząco głową.

– Przypuszczałem to.

– Trudno mi dzisiaj odtworzyć przebieg rozmów, jakie z nią prowadziłem, wspominałem o tym na śledztwie, ale odniosłem wrażenie, że jest to osoba nieprzeciętnej miary.

– Jeżeli do tego dodamy, że napad na „Robota” nie miał cech pospolitego napadu rabunkowego, że w grę nie wchodziły tam pieniądze, ale – nadkomisarz Hnyć ściszył głos – niejako zdobycze naukowe, to...

– To?...

– Przypuszczam, że policja pewnego europejskiego państwa wie o tej sprawie coś więcej od nas.

Nadkomisarz Hnyć uderzył kantem dłoni o blat biurka.

– Pan znał najlepiej Alicję Wedwood i dlatego zapytuję się pana, czy to przypuszczenie w stosunku do jej osoby wygląda na prawdopodobne?

Stempkowski aż pobladał z wewnętrznego wzruszenia.

– Tak, panie nadkomisarzu – powiedział wolno – to wygląda bardzo prawdopodobnie.

XIV.

Międzynarodowy Kongres Kryminalistyki i Medycyny Sądowej zwołany do Nowego Jorku zapowiadał się okazale.

Piętnaście delegacji wysyłały same kraje europejskie, a w liczbie ich znajdowała się i delegacja Polski.

Stanisław Stempkowski, redaktor „Wiadomości Codziennych”, wyruszył także na tę zamorską eskapadę. Namówił go do tego

nadkomisarz Hnyć, który również wyjeżdżał do Nowego Jorku.

W Gdyni wsiedli na statek „Władysław IV”, potężny transoceaniczny parowiec. Podróż trwała dość długo, bo okręt zatrzymywał się w Hamburgu, Londynie i Hawrze.

Dla Stempkowskiego czas minął jednak szybko i cała ta podróż nie utkwiałaby mu na dłużej w pamięci, gdyby...

Cztery godziny dzieliły ich już tylko od przybycia do portu nowojorskiego, kiedy Stempkowski wraz z Hnyciem wstali od okrągłego stolika okrętowej restauracji.

– Przejdźmy się trochę – zaproponował nadkomisarz – tysiąc kroków dla zdrowia.

Stempkowski kiwnął głową i zapalił papierosa.

Szli wolno białym, błyszczącym czystością korytarzem.

– Pogoda nam dopisuje – zauważył jego towarzysz.

– Mamy szczęście – powiedział Stempkowski – zwłaszcza że...

Papieros wypadł z palców dziennikarza.

Za załamania korytarza wyrzała lekka, wysmukła sylwetka kobiety. Szła wolno przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie.

– Co panu się stało? – zaniepokoił się Hnyć.

– Nic, panie komisarzu... zupełnie nic, to... ząb...

Dziennikarz poczuł, jak mu do serca zbiega wszystka krew.

Alicja Wedwood!

To ona!

Czy go pozna?

Schwycił komisarza za ramię. Wystarczyło powiedzieć teraz dwa słowa, dwa krótkie słowa: – To ona! – Nadkomisarz Hnyć w lot by się zorientował.

Alicja Wedwood poszukiwana przez fińską i polską policję! Tu, w tym korytarzu, na pięć kroków przed nim.

Czy go już spostrzegła?

Czy poznała?

Poczuł delikatny zapach perfum. Teraz albo nigdy. Popatrzył jej prosto w twarz. Nic się nie zmieniła. Była tą samą Alicją Wedwood, tajemniczą pasażerką transportowca „Robot”. Jej wzrok zatrzymał się na chwilę na osobie Stempkowskiego. Usta nie drgnęły, żaden błysk obawy nie ukazał się w czarnych źrenicach.

Stempkowski zaciął wargi.

Minęła go tak blisko, że prawie otarła się ręką o jego dłoń.

– Zna pan tę osobę? – zagadnął Hnyć, który już zauważył badawcze spojrzenie dziennikarza.

– Nie, nie znam zupełnie.



Różnobarwny wąż pasażerów wypętał z dolnego pokładu „Władysława IV”.

Posuwali się wolno poprzez pomost, rozlewali się na wszystkie strony na kamiennym bulwarze nabrzeża.

Nadkomisarz Hnyć zszedł jeszcze na chwilę do swej kabiny, a Stempkowski oparty o stalową barierę ciekawie rozglądał się dokoła.

Zupełnie nieoczekiwanie, niespodziewanie, tuż obok kanciastego, szarego słupa wbitego nad czarną taflą wody, dostrzegł Alicję Wedwood.

Nie umiał oderwać oczu od jej sylwetki. Być może, że był to zbieg okoliczności, a może Angielka odczuła na sobie wzrok dziennikarza?

Odwróciła się wolno i spojrzała w stronę pokładu.

Coś, jak gdyby cień uśmiechu, przemknęło po jej twarzy.

Stempkowski machinalnie sięgnął ręką do kapelusza. Skinęła mu lekko głową, a potem zniknęła w tłumie.

KONIEC